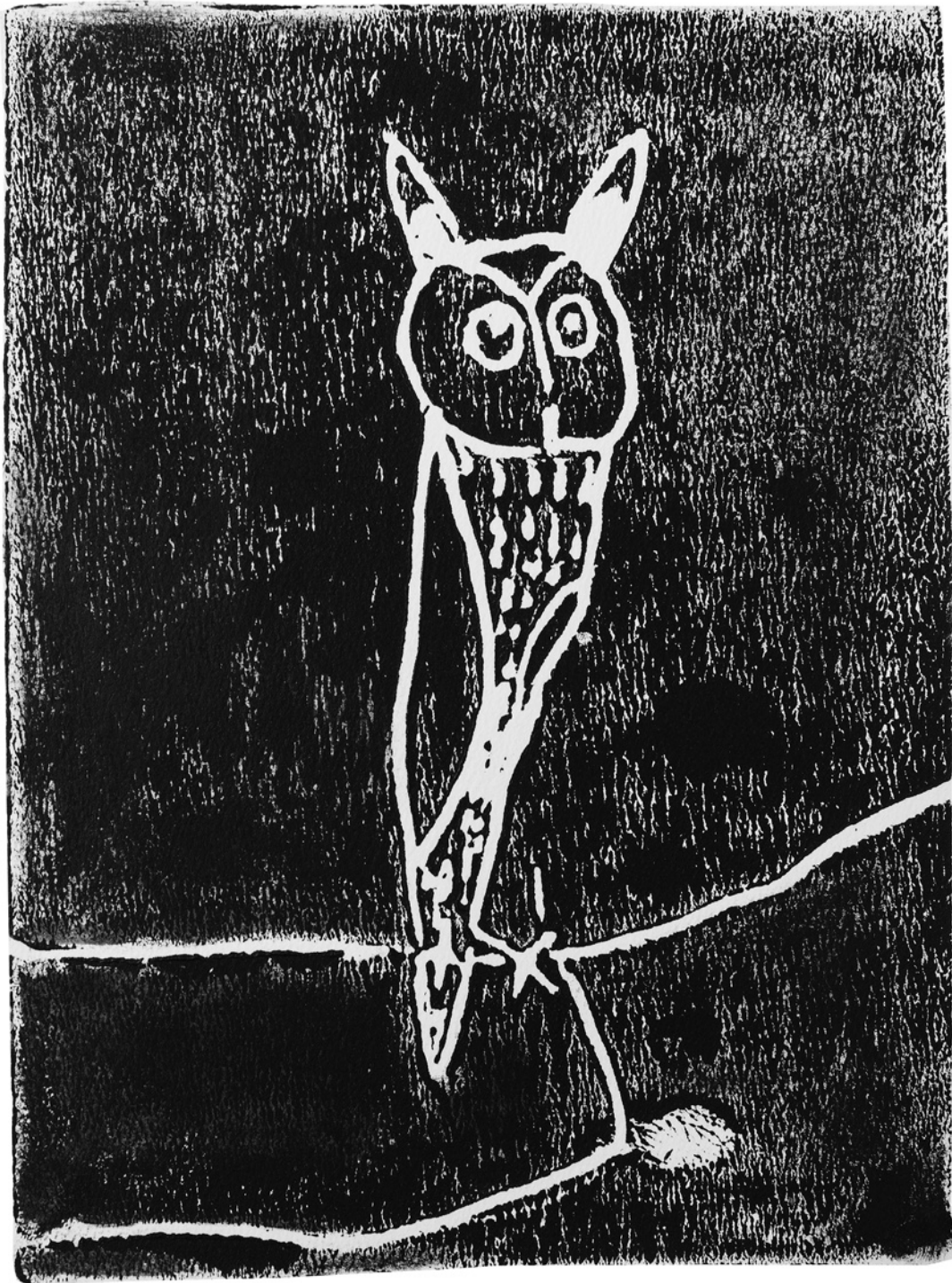


LIPIEC 2017 #1

STRONY

MARTA SAPAŁA · ANETA PRYMAKA-ONISZK · MICHAŁ KSIĄŻEK · JACEK KARCZEWSKI
OLGA GITKIEWICZ · FILIP SPRINGER · ANTONINA PIECHOTA · JACEK FRAŚ



ANTONINA PIECHOTA

Uszatka, grafika pochodzi z książki *Sowy polskie duże i małe*.

Wstęp

Tworzymy Kolektyw Sputnik Photos. Robimy zdjęcia, organizujemy wystawy, wydajemy artystyczne książki. Działamy od jedenastu lat i przez cały ten czas jako artyści szukamy języka, pozwalającego wyrazić nasz stosunek do współczesności. Chcemy mówić o tym, co nas inspiruje, ale też uwiera – nie tylko językiem fotografii.

Dlatego właśnie postanowiliśmy wrócić do idei zinu – artystycznego magazynu. Nazwaliśmy go „Strony”. Jak mówi Adam Pańczuk, „Strony” powstały z oddolnej potrzeby działania i potrzeby wyrażenia swojego głosu.

– Widzimy, że to, co robimy na co dzień, jest dalekie od naszej polskiej rzeczywistości. Ta rzeczywistość, szczególnie ostatnio, co raz bardziej nas dotyczy, również jako twórców i dlatego chcemy się do niej odnieść - dodaje Jan Brykczyński.

Wszystkie wydania „Stron” będą tematyczne. Do współpracy przy tworzeniu zinu zaprosiliśmy ludzi pióra i artystów wizualnych.

– Chcemy spleść wokół jednego zagadnienia różne dziedziny sztuki i zobaczyć, co z tego wyniknie – tłumaczy Agnieszka Rayss.

– To może być dobre miejsce do zderzenia różnych punktów widzenia – podsumowuje Rafał Milach.

Pierwsze wydanie zinu zdecydowaliśmy się poświęcić środowisku. Za koncepcję i realizację tego numeru odpowiada Michał Łuczak.

– Chciałbym przestać być bezradny wobec sytuacji, która narasta w mojej Ojczyźnie – deklaruje.

– Mogę użyć do tego tylko tych narzędzi, które znam. Nie są to oczywiście gesty wielkiego kalibru, ale są, i wierzę, może naiwnie, że nawet tak małe platformy jak „Strony” robią różnicę.

W „Stronach” #1 Jacek Karczewski pisze o wielkiej masakrze, jaką my, ludzie, zafundowaliśmy ptakom, Marta Sapała o tym, że klimat dramatycznie potrzebuje ulgi – i że ta ulga jest w zasięgu naszych możliwości, a Aneta Prymaka-Oniszk o środowisku, które codziennie stwarzamy – mówiąc i pisząc. Filip Springer przygląda się warstwom ukrytym pod Suwalskim Parkiem Krajobrazowym, Olga Gitkiewicz piechotą idzie po mieście, a z samego środka Obozu dla Puszczy pisze dla nas Michał Książek. Na łamach „Stron” debiutuje siedmioletnia Tosia Piechota, autorka sowych ilustracji. Jest z nami także Jacek Fraś, którego komiks zamyka pierwszy numer.

Dopełnieniem zinu w przestrzeni miejskiej będą billboardy z pracami artystów wizualnych: Diany Lelonek, Joanny Rajkowskiej, Michała Frydrycha i Andrzeja Tobisa. W 2017 „Strony” ukażą się trzy razy, pojawieniu się każdego numeru będzie towarzyszyć debata.

Kolejne numery zinu, każdy w limitowanym nakładzie, będą dostępne w internecie (www.sputnikphotos.com, ISSN, ziny.pl) oraz w wybranych warszawskich klubokawiarniach (m.in. Wrzenie Świata, barStudio, Reset, Państwomiasto, Towarzyska)

STRONY #1

Nakład 500 egzemplarzy.

Wydawca:

Sputnik Photos
ul. Andrzejowska 4/2
02-312 Warszawa

Koncepcja artystyczna: Michał Łuczak

Projekt graficzny: Jan Piechota

Koordinacja: Marzena Michalek-Dąbrowska

Promocja: Magdalena Gorlas

Redakcja: Olga Gitkiewicz

Korekta: Maja Nałęcka

Drukarnia: Chromapress

„Strony” wydrukowaliśmy na papierze

Cyclus Offset 115 g

**SPUTNIK
PHOTOS**



Projekt współfinansuje
m.st. Warszawa

Ulga klimatyczna

MARTA SAPAŁA

**Podobno uratują nas dziewczynki, lodówki i resztki (zwłaszcza te roślinne) ze stołu.
Dokładnie w takiej kolejności.**

W zasadzie już się z tym pogodziłam. Z tym, że towarzyszy mi permanentne poczucie klimatycznej winy. Jest jak cień, którego nie da się odczepić. Ignorowane czy nie, zawsze wraca – przyklejone do pleców, dyszy w kark gorącym, przesyconym dwutlenkiem węgla oddechem. Gotowanie, jedzenie, pranie, droga do pracy i z dziećmi do placówek, parkowanie, wakacje, nowe dzinsy, telefon, kostka mydła, bukiet kwiatów do wazonu – każda z tych sytuacji jest w gruncie rzeczy środowiskowym wyzwaniem, zadaniem do rozwikłania, ale też potencjalną mikroklęską. Jasne, mogłabym w ogóle nie podejmować decyzji, wypiąć się z konsumpcyjnego łańcucha, udając, że sprawa mnie nie dotyczy. Ale to niemożliwe. Również dlatego, że sama jestem chodzącym generatorem dwutlenku węgla. Żyję, więc oddycham, oddycham, więc emituję. Jestem współodpowiedzialna za proces zmiany klimatycznej, który właśnie przetacza się przez Ziemię.

Jest on zresztą tak złożony, że dyskusja o odpowiedzialności nie jest łatwa. Ci, którzy Ziemię pustoszą, dziurawią, trzebią, wypalają, zasmradzają – wiadomo, są winni. Ale co z całą resztą? My, drobni udziałowcy procesu konsumpcji ziemskich zasobów, kupujemy przecież mleko, wołowinę bez kości, wzbogacone olejem palmowym smarowidła do chleba. My wycinamy filtry cząstek stałych w autach, instalujemy w mieszkaniach klimatyzację, mimo że upał w naszym kraju jest dotkliwy co najwyżej przez kilka tygodni, rżniemy drzewa tylko dlatego, że nam wolno, a wolność identyfikujemy z prawem do zakupu truskawek w grudniu. Och, są większe problemy – mówimy, dokładając kolejny mały gest. Bezwiednie i bezrefleksyjnie, bo kto z nas tak naprawdę wie, które z jego codziennych działań generuje najwięcej klimatycznych szkód (o etycznych nie wspominając)? Ja sama, choć mam ustawiony radar na wszystko, co dotyczy związku codziennej konsumpcji z klimatycznym rozregulowaniem świata, do niedawna nie miałam pojęcia.

Aż trafiłam na *Drawdown* – gigantyczny multidyscyplinarne projekt zarządzany przez Paula Hawkena. W książce, która jest efektem wieloletnich badań międzynarodowego

zespołu specjalistów od atmosferycznego kryzysu, zebrano sto rozwiązań, które – jeśli zostaną wdrożone – uratują nas przed powolnym ugotowaniem się w solance.

Drawdown to określenie z języka ekonomicznego. W nomenklaturze inwestorów określa początek spadku ze szczytu, moment, w którym indeks zaczyna ześlizgiwać się w dół. Najbardziej istotny dla naszej przyszłości wykres, wytyczony przez poziom nasycenia atmosfery dwutlenkiem węgla, jak na razie cały czas pnie się w górę. Rok 2016 został ogłoszony najcieplejszym w historii pomiarów temperatury na świecie. *Drawdown* jest nam dramatycznie potrzebny, pisze Paul Hawken. Po raz pierwszy w historii wiemy jak go osiągnąć – dodaje.

W sumie wiadomo od dawna, że wypalanie dziewiczych lasów deszczowych na Borneo przynosi szkodę całej planecie, a sadzenie dużych drzew w wybetonowanych miastach jest pożytkiem nie tylko dla tych, co korzystają z ich cienia. Że przesiadka na rower opłaca nam się także z klimatycznego punktu widzenia, podobnie jak jadalospis złożony z roślin, kompostowanie organicznych resztek oraz stosowanie żarówek LED.

Drawdown jednak – z matematyczną bezwzględnością – precyzuje, które z różnych działań, jakich się chwytamy, są najbardziej efektywne. Wyceniając ratunek w gigatonach zaoszczędzonego dwutlenku węgla, przelicza je na ulgę dla atmosfery. Mówi, że można nie tylko zatrzymać proces powolnego podgrzewania atmosfery, ale i doprowadzić do jego odwrócenia. Serio, to możliwe – zapewnia Hawken. Nikt do tej pory nie pisał tak optymistycznie o klimacie.

Sztuczne liście, które będą z apetytem zjadać dwutlenek węgla, odtworzenie stepu na Syberii (w przeciwieństwie do tajgi utrzymywałby temperaturę w tym rejonie świata na poziomie niższym o te kilka stopni, które dzielą nas od roztopienia się wiecznej zmarzliny), włączenie do krowiej diety pewnego wodorostu, który sprawi, że te największe producentki metanu będą puszczać mniej bąków – większość pomysłów analizowanych w książce wymaga wielkiego kapitału, zaplecza technologicznego lub bezwzględnej współpracy na międzynarodowym poziomie. Ewentualnie wszystkiego naraz.

To, co ma największy potencjał, jest jednak tak proste, że aż banalne.

Jeśli chcemy ocalić przyszłość gatunku ludzkiego na Ziemi (bo ona sama sobie na pewno jakoś poradzi), powinniśmy zwrócić szczególną uwagę na to, co jemy, gdzie to jedzenie przechowujemy, ile go wyrzucamy i czyimi rękoma je szykujemy. Lodówki, kuchenne odpadki roślinnego pochodzenia i dziewczynki – to właśnie związane z nimi działania mogą odwrócić proces zmiany klimatycznej na Ziemi. I to jeszcze przed 2050 rokiem.

Skąd to wiadomo? Specjaliści od *drawdown* dokładnie to policzyli. Ogólnoświatowa wymiana lodówek, zamrażarek i klimatyzatorów na bezpieczne dla atmosfery, czyli takie bez HCF w bebeczach, przyniesie redukcję emisji CO₂ o blisko 90 gigaton (dla oddania skali: to mniej więcej trzystuletni dorobek Polski).

Koniec z dyskryminacją warzyw i owoców, które nie spełniają kosmetycznych standardów wytyczonych przez supermarkety i przez to gniją niezebrane na polach, liberalizacja zasad dotyczących oznaczania dat ważności i ograniczenie marnowania żywności przez gospodarstwa domowe – 70 gigaton oszczędności. Globalna konwersja na wegetarianizm i weganizm – niemal drugie tyle.

Jeśli do tego zapewnimy dziewczynom na całym świecie dostęp do edukacji (również seksualnej, bo prawo do samodzielnego dysponowania własnym ciałem i płodnością jest kluczowe dla czegoś, co można by nieładnie nazwać „zarządzaniem demografią”) oraz zaczniemy systemowo wspierać małe biznesy prowadzone przez kobiety – klimatyczny *drawdown* mamy w zasadzie murowany. Antarktyda przestanie pękać, zakwaszone oceany odetchną, Gólsztröm złapie równowagę. Brzmi tak świetnie, że aż nieprawdopodobnie.

Bo tu wchodzi makroskala. Weźmy lodówki, które do spółki z zamrażarkami i klimatyzatorami są w tej chwili uznawane za największe zagrożenie dla atmosfery. Bulgoczące w ich wnętrzościach gazy nazywane skrótowo HFC zastąpiły freon, którym straszono nas w latach osiemdziesiątych. I choć w przeciwieństwie do niego nie dziurawią warstwy ozonowej nad Ziemią, wyjątkowo skutecznie podgrzewają atmosferę. Nawet dziewięć tysięcy razy mocniej niż dwutlenek węgla. Pół biedy, jeśli lodówka stoi w kuchni i chłodzi. Kłopot pojawia się, gdy zaczyna szwankować albo – martwa lub wymieniona na młodszy model – ląduje na wysypisku. W ubiegłym roku, podczas szczytu w Kigali, przedstawiciele blisko 170 krajów podpisali porozumienie, na mocy którego sprzęt chłodzony śmiertelnym dla atmosfery HFC ma zostać wycofany ze sprzedaży na całym świecie – najpóźniej do 2028 roku. Co się jednak z nim stanie? Czy wyląduje w miejscu takim, jak Agbogbloshie,

czyli cmentarzysko elektrośmieci pod Akrą, stolicą Ghany, gdzie połowa Europy – nielegalnie – wysyła zwłoki komputerów, telewizorów i chłodziarek? Bo tak, choć nielegalnie, jest taniej. Nic im tam nie będzie przeszkadzać w swobodnym uwalnianiu zgromadzonych we wnętrzościach gazów do atmosfery.

Kolejny temat: marnowanie żywności. Wyrzucamy niemal co drugie jabłko, marchew i sałatę, co trzecie ziarno pszenicy, jedno na sześć jajek, skazujemy na zmarnowanie blisko ćwierć ciała każdego zwierzęcia. Marnujemy żywność na wszystkich etapach jej życia, robimy to wszyscy, bez wyjątku, robimy to z nonszalancją i bez refleksji. Ci, którzy przyznają, że temat ich uwiera, mówią o dyskomforcie finansowym związanym z refleksją typu: kupiłem, zapłaciłem, a teraz idzie do kosza. Bo kto z nas, spuszczając w toalecie skwaśniałą zupę, wyrzucając zeschnięty, podfarbowany turkusową grzybnią chleb, odklejając od tylnej ścianki lodówki podgniłą sałatę, która leżała tam kilka tygodni za długo, zdaje sobie sprawę z tego, że właśnie robi pojedynczy mały krok ku klimatycznej katastrofie? I nie tylko. Rdzeniem większości konfliktów, zamieszek, ruchów jest głód. A on jest nie tylko narzędziem politycznej i ekonomicznej gry, pochodną nierównej dystrybucji żywności na świecie, ale też rewersem obżarstwa i marnotrawstwa – które stało się sposobem na zaznaczanie statusu. Stać mnie, więc wyrzucam. Także w naszej konsumpcyjnej rzeczywistości, którą jeszcze niedawno można było opisać za pomocą jednego słowa. Brak.

Na szczęście jest jeszcze mikroskala, dostępna nam, drobnicowcom od emisji. Można podpowiedzi rzucone przez zespół Paula Hawkena traktować dosłownie. Zrezygnować z zamrażarki, urodzić córkę i zacząć jeść ziemniaki wyłącznie w mundurkach. Ja wołę jednak inne podejście: lodówki, dziewczynki i odpadki symbolicznie pokazują, jak należy w trudnych dla klimatu czasach żyć. To proste. Szanuj to, co posiadasz. Naprawiaj, zamiast wymieniać na nowe. Karm się roślinami, staraj się jak najmniej marnować, a gdy już koniecznie musisz coś wyrzucić, oddaj to Ziemi, nakarm kompost. Inwestuj w relacje, nie w rywalizację. A jeżeli nawet nie masz zamiaru zostać rodzicem, albo tak jak ja wychowujesz synów, traktuj dzieci, które spotykasz tak, aby czuły, że naturalnym jest to, że dziewczynki mogą robić wszystko to, co chłopcy. Nadejdzie bowiem moment, że one i oni nie będą mieć wyjścia – żeby zatrzymać klimatyczny galop, będą musieli naprawdę współpracować.

MARTA SAPAŁA Dziennikarka, autorka przewodników po Polsce i będącej zapisem reporterskiego eksperymentu książki *Mniej. Intymny portret zakupowy Polaków*. Publikuje w tygodniku „Polityka”, pracuje nad kolejną książką.

Wytrychy do ślepej uliczki

ANETA PRYMAKA-ONISZK

Justyna Kowalczyk ma „jaja większe od niejednego mężczyzny”, a Jaś „biega jak dziewczyna”. „Uchodźcy nie chcą pracować”, a „zamiast mleka żądają śmietanki”. Zaś nasze wschodnie miasta obowiązkowo „pielęgnują wspomnienia wspaniałych polskich Kresów”.

Słowa wytrychy. Płyną z gazet, folderów reklamowych, forów internetowych, z naszych domów, z ulicy. Same cisną się na klawiaturę nawet dziennikarzom i ludziom pracującym – z założenia krytycznie – ze słowem. Automatycznie, bez głębszej refleksji. Bo – wydawałoby się – nad czym tu się zastanawiać. Przecież wszyscy tak mówią.

No właśnie. Co właściwie mówią? Jaki komunikat wysyłają? Czy na pewno tego chcą? Choć w wakacje dajmy sobie czas na posłuchanie tego, co sami automatycznie mówimy. Na słuchanie siebie nawzajem. Takie w stylu eko i bio, czyli otwarte i krytyczne wobec tego, co „było zawsze”. Wrażliwe na skutki własnych słów. I oczywiście świadome. Mamy być świadomi tego, co kupujemy, co jemy, czym oddychamy. Bądźmy więc świadomi także tego, co mówimy i jaki świat tymi słowami stwarzamy.

Męska decyzja i kobiece jaja

Gdy Justyna Kowalczyk kilka lat temu wyznała, że ma depresję, rozpętała się burza. Jedni wspierali, inni hejtowali. Jedni chwalili, inni byli przeciw. Forumowicz portalu gazeta.pl z pewnością chciał ją wesprzeć. „Pani Kowalczyk jako kobieta ma większe «jaja» od niejednego mężczyzny” – napisał, zbierając ponad trzy tysiące lajków. Komentarzy w podobnym tonie było sporo.

Zapytałam wtedy na swoim facebookowym profilu o język. Co to właściwie oznacza? Że Justyna Kowalczyk tym, co zrobiła, dorównuje niektórym mężczyznom, bo z zasady oni są „lepszy”? I że to największy komplement dla kobiety? Dostało mi się za te rozważania. Że piszący nie miał przecież nic złego na myśli (tego nie kwestionuję), a ja szukam dziury w całym. Że to jakies feministyczne wymysły. „Mieć jaja to, wg mnie, być odważnym, konkretnym. Odwaga – historycznie – była związana z mężczyzną, któremu była ona niezbędna, żeby walczyć, bronić się czy polować na zwierzynę” – tłumaczono mi, mimo że doskonale rozumiem znaczenie słów i ich kontekst kulturowy. Były próby dyskusji, kto odważniejszy – kobiety

czy mężczyźni, na szczęście nie weszliśmy w nie głębiej. Sporo osób przyznawało, że nie zwraca uwagi na wartościowanie kobiecości i męskości w języku.

Kiedy ostatnio Maryla Rodowicz wycofała się z udziału w Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, Krzysztof Materna w rozmowie z Agnieszką Kublik ocenił, że to decyzja „powiedziałbym – przepraszam cię, Marylko – męska. Męska. Tak powinna zrobić”. Paulina Domagała na łamach „Gazety Wyborczej” napisała: „Decyzje mogą być różne. Trudne, nieprzemyślane, dobre, lekkomyślne, złe, nawet idiotyczne. Decyzja Maryli Rodowicz natomiast nie była męska. Była albo kobieca albo po prostu ludzka”.

A przecież chcieli skomplementować te, o których mówili. „To ona zachowuje się, jakby w tym związku nosiła spodnie” – to też jest określenie wytrych. Ma być pochwałą dla kobiety, obelgą dla mężczyzny z tego związku. Czy ona ma się cieszyć? Ale jak się cieszyć z takich „pochwał”, jeśli ich język tworzy i utrwała dość okropne wartościowanie. Gdzie kobiecość jest ułomnością (te wszystkie: mażesz się jak baba, nie bądź babą, babski upór, itp.), męskość nobilitacją. Męskość stała się komplementem, kobiecość – obelgą. Czy w takim świecie ciągle chcemy żyć? I nie chodzi tu o deprecjonowanie męskości i odwracanie ról, wychwalanie kobiecości. Może po prostu o inność, której nie musimy wartościować tak radykalnie poprzez nasz język?

Współczesność, historia oraz własne doświadczenie podsuwają nam wzorce wykraczające poza te wartościujące schematy. Odwaga, mądrość, umiejętność podejmowania właściwej decyzji ma różne twarze. Także kobiety. Dla mnie na przykład – twarz mojej babci. Uchodziła przed I wojną światową do Rosji. Gdy pociągiem pełnym chorych na tyfus ludzi wracała z mężem i malutką córeczką na swoją ziemię, żołnierze wynoszący zmarłych i ciężko chorych chcieli zabrać też jej dziecko. Ona tak długo i zawzięcie się z nimi szarpała, aż w końcu machnęła ręką. „Głupia jesteś, ono umrze i wy razem z nim” – powiedzieli na odchodnym. Przeżyła cała rodzina, a wyrwana wtedy żołnierzom córka dożyła swoich dziewięćdziesiątych piątych urodzin.

Jaką decyzję podjęła wtedy moja babcia? Męską? Kobiecą? Ludzką? Czy musimy to w taki sposób określać?

Biegiesz jak dziewczyna

Przesadzam? Bo to tylko język?

Pamiętacie społeczną kampanię Always „Like a girl”? Lauren Greenfield, jej twórczyni, prosi kolejnych bohaterów i bohaterki, by przed kamerą pokazali, co znaczy „biec jak dziewczyna”, „bić się jak dziewczyna” lub „rzucić jak dziewczyna”. Młodzi chłopcy i mężczyźni, ale też dorosłe kobiety, reagują tak samo. Próbuje biec, ale się potykają. Skupiają się na wzdychaniu i odgarnianiu włosów, dziwacznie wykręcają nogi i ręce. Takie infantylne pokraki. Tylko małe dziewczynki zachowują się zupełnie normalnie. Biegną, ile sił, zapalczywie boksują powietrze, markują rzucanie. „Biec jak dziewczyna znaczy «Najszybciej, jak potrafisz»” – mówi jedna z nich. Ale inna, ciut starsza, zauważa: „Nie wiem, czy to znaczy coś złego czy dobrego, ale brzmi, jakby się chciało kogoś poniżyć”.

Z badań Always wynika, że niemal połowa dziewczynek traci pewność siebie tuż po tym, jak dostaje pierwszą męską siłkę. Wpływ na to mają m.in. komunikaty, które „wysyłają do nich media, ale także najbliżsi”. I – choć początkowo „biec jak dziewczyna” znaczyło „biec najszybciej, jak potrafisz” – dla młodej dorosłej kobiety to „biec jak pokraka i nieudacznica”. Staje już po drugiej stronie komunikacyjnej barykady.

Bardzo mnie porusza ta kampania. Kiedyś byłam przecież dziewczynką skupioną na tym, by biec tak szybko, jak potrafisz. A teraz jestem mamą dwóch dziewczynek. Starsza uczy się jeździć na rolkach. Co krok, to upadek. Komplet ochraniaczy zabezpiecza łokcie, kolana i dłonie. „Mamo, a na tylek nic nie ma?” – pyta po którymś z upadków. Nie ma. Wstaje ze łzami w oczach i znowu rusza. Walczę ze sobą, by nie podbiec, nie złapać przed kolejnym upadkiem, nie uchronić od nowego siniaka. Ale widzę tak wielką determinację, ogromną siłę. Nie biegnę. Następnego dnia upada rzadziej. Po tygodniu jeździ najlepiej na całym boisku, próbuje skakać i kręcić piruety. „Jeździć jak dziewczyna to znaczy najlepiej jak potrafisz” – powiedziałaaby pewnie, gdybym zapytała.

„Fraza «jak dziewczyna» używana jako coś złego potrafi być obezwładniająca. Chcę to zdefiniować na nowo, by «jak dziewczyna» znów oznaczało coś pozytywnego” – mówiła Greenfield w jednym z wywiadów po rozpoczęciu się kampanii społecznej.

Prymitywność na sprzedaż

Wakacyjne wyjazdy. Jeszcze do niedawna biura podróży kusily dalekimi wycieczkami, by oglądać „barwnych i ciekawych mieszkańców, prymitywne plemiona oraz stada dzikich zwierząt”. Cztery lata temu Olga Stanisławska, reportażystka i publicystka zajmująca się m.in. tematyką wielokulturowości, zauważała (w tekście *Brzemień odmienności*, dwutygodnik

internetowy „Kontakt”), że pewne międzynarodowe biuro do oglądania „prymitywnych plemion” zachęcało na stronach polskich, w angielskiej wersji w ogóle nie występowało słowo *primitive*. Postkolonialny język podboju i cywilizowania dzikich tam już nie uchodził.

Dziś także w polskiej wersji nie ma „prymitywnych ludów”. Są „ludzie z dawnych epok”. To kosmetyczna zmiana czy jednak coś głębszego, przepracowanego? Trudno jednoznacznie rozstrzygać. To, co tamten język oferował: egzotyczna odmiennosc, najlepiej w wersji zbliżonej do autentycznej, niezmiennej od lat, bardzo dobrze się sprzedaje.

„Dawny język wciąż generuje różnicę, i to nie tylko w broszurach biur podróży, ale i w najpoważniejszych gazetach – zauważa Olga Stanisławska. – My mamy «wsie», zaś Afrykanie «wioski». My mamy «języki», Indianie «narzecza» lub «dialekty». Europę zamieszkują «narody» i «grupy etniczne», Afrykę zaś «plemiona» i «ludy». Muzułmanie to w prasie nadal często egzotyczni «wyznawcy Allaha», choć nie mówimy przecież o żydach per «wyznawcy Jahwe». Co ciekawe, określenie «wyznawcy Chrystusa», jeśli wierzyć internetowym wyszukiwarkom, też się pojawia najczęściej w egzotycznym kontekście Egiptu czy Pakistanu”.

Język – nieważne w jakim celu: kolonialnej dominacji czy marketingowej egzotyki – może stygmatyzować grupę ludzi, zamykać innego w jego domniemanej odmiennosci. Ale z drugiej strony może w sposób sztuczny zacierać różnice, ukrywać je i udawać coś uniwersalnego. Wytyka kogoś palcem jako innego, albo przeciwnie, przykrawa go do jednej, obowiązującej formy. Co więc robić, by nie popadać z jednej skrajności w drugą?

„Jedynym wyjściem – konkluduje Olga Stanisławska – to zachowywać świadomość historii, jaka nas kształtowała. Oglądać się nieustannie do tyłu i nie ufać gotowym metaforom, które same się cisną pod pióro”.

Kresy i fasada wielokulturowości

Teraz podróże krajowe.

Białystok na swoich stronach internetowych definiuje się jako miasto „wielu narodowości, religii i wyznań”, które „pielęgnuje wspomnienie wspaniałych polskich Kresów”. Do tego wielkiego mitu Polaków odwołuje się zresztą więcej miast, nie mówiąc już o całej gałęzi przemysłu turystycznego. W tej narracji Kresy to polska utracona arkadia: sielska kraina wspaniałych dworców, pańien w białych sukniach, polowań, śpiewnego języka, bogatej kultury. Mówi się tu o przyjaznym, równoprawnym współistnieniu różnych narodów i wyznań – co nie przeszkadza podkreślaniu polskiej misji cywilizacyjnej niesionej tamtejszym, głównie ukraińskim i białoruskim nacjom, rzecz jasna zapóźnionym kulturowo.

Ta mitologia zdaje się nie dostrzegać w sobie żadnej sprzeczności (choćby tej powyższej – o równoprawnym współistnieniu różnych grup i misji cywilizacyjnej jednej z nich). Nie zauważa też narracji ukraińskich czy białoruskich ani obecnego stanu badań nad tzw. Kresami. A przecież coraz więcej badaczy (poczynając od francuskiego historyka Daniela Beauvoisa) twierdzi, że system gospodarczy wytworzony na wschodzie dawnej Rzeczypospolitej i utrzymywany tam przez cztery wieki miał charakter kolonialny, zaś stosunki między Polakami a Ukraińcami czy Białorusinami przypominały często stosunki między panem a niewolnikiem.

Folderowe „wspaniałe polskie Kresy” nie mieszczą innej niż ta mityczna wersja historii. Nie ma w niej opowieści nie tylko chłopka ukraińskiego czy białoruskiego albo Żyda, nie ma nawet wersji chłopka polskiego, którego perspektywa też jest przecież inna niż ziemiańska. Nic więc dziwnego, że – choć marketingowo wykorzystywana bywa przez wszystkich oraz często powtarzana bezrefleksyjnie – budzi ona sprzeciw wielu ludzi po obu stronach dzisiejszych granic.

Jest jeszcze inny kłopot z takim folderowym opisaniem świata za pomocą utartych mitów. Gdy „pielęgnowujemy wspomnienie wspaniałych polskich Kresów”, nie ma miejsca na prawdziwe życie w wielokulturowym społeczeństwie. Na konfrontację z tym, co się tu naprawdę działo i dzieje do dziś – a życie na pograniczu kultur, narodów i wyznań nigdy nie jest bezproblemowe i nie polega tylko na wspólnym obchodzeniu różnych świąt. Gdy trzeba się „szczyścić wielokulturową tradycją”, nie można zauważyć i przepracować realnych problemów i tłących się do dziś konfliktów. Zamiatane pod dywan, skrywane pod słowami wytrychami, wcześniej czy później mogą wybuchnąć. Mechanizmem tej „fasadowej wielokulturowości” i terroru wizerunku zajmowali się już naukowcy, świetnie opisał to też Marcin Kącki w reportażu *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*.

Uchodźcy dziś i przed stu lat

„Jadą brudni i zawszeni. Jeszcze zarażą nas swoimi chorobami!” I kto ich będzie utrzymywał? Ponoć nie chcą pracować. „Dlaczego więc mamy im dawać zasiłki? Niech zarobią, pracy jest przecież mnóstwo. I w polu, i na ulicy. Jeśli ktoś odmawia, niech i zasiłków nie bierze”. Są roszczeniowi. „Ponoć nie chcą pić mleka, żądają śmietanki”. No i ci przestępcy wśród nich. Za dnia zatrudniają się jako służba, a nocą uciekają z całym majątkiem gospodarza! Może i są wśród nich prawdziwi uchodźcy, ale dużo jest i „uchodźców”. „Przecież ewakuowano też więźnia, a razem z nimi – znanych w całej Europie <fachowców>”.

Brzmi znajomo? Styl może trochę retro, ale treść – jak najbardziej dzisiejsza. Tak sto lat temu mówiono na wsiach

i w miastach Imperium Rosyjskiego, w takim tonie pisały lokalne gazety. Nadciągający błyskawicznie front I wojny światowej wygonił z domów (przy sporej pomocy żołnierzy carskich) nawet pięć milionów chłopów z tzw. zachodnich krańców Imperium, czyli ziem polskich na wschód od Wisły, białoruskich, ukraińskich, litewskich, łotewskich, estońskich. Wszyscy oni w panice szli przed siebie, na wschód. W końcu po miesiącach tułaczki wsadzono ich do pociągów towarowych, które ruszyły w głąb Imperium, wywołując wśród tamtejszych mieszkańców lęk, doskonale znany nam dzisiaj (więcej piszę o tym w książce *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*).

Państwo rosyjskie, któremu zależało na dobrym przyjęciu uchodźców (z rosyjskiego bieżenców) – przecież to byli jego ówczesni obywatele, przemieszczający się w ramach jednego państwa; ziemie polskie, ukraińskie, białoruskie, litewskie, łotewskie, estońskie znajdowały się wtedy pod carskim panowaniem – sięgnęło po propagandę. W gazetach pojawiały się podkolorowane historie o biednych ludziach, których proste i pobożne życie przerwał Niemiec, zrujnował domy, zbezczeszczył groby, zamordował bliskich. Ci, co przeżyli, by ratować siebie i swoje dzieci, musieli uciekać. I my musimy im pomóc! Drukowano zdjęcia wynędzniałych kobiet, starców i dzieci; w rysunkach pojawiały się odwołania wprost do Świętej Rodziny, która też musiała uciekać – do Egiptu przed Herodem. Za kopiejkę sprzedawano kilkustronicowe książeczki z sentymentalnymi historiami osławiającymi bieżenców.

To oczywiście niejedyny narzędnik, jakimi dysponowało państwo; opornym miastom i regionom ostatecznie można było po prostu nakazać przyjęcie tysięcy uchodźców. I takie rozwiązanie często stosowano. Ale w dokumentach z tego czasu widać, że władze bały się starć miejscowych z uchodźcami. Zwłaszcza że wśród przybyszów była niewielka grupa Żydów. Czy wobec nich nie dojdzie do pogromów? – zastanawiali się urzędnicy.

Podjęte działania przyniosły skutek – w dokumentach i opracowaniach nie znalazłam żadnego śladu aktów nienawiści. Zamiast tego pełno jest wspomnień, idealizowanych wraz z upływem czasu, o wspaniałym przyjęciu uchodźców przez miejscowych. Mimo początkowej niechęci i strachu, gdy już doszło do spotkania, miejscowi dzielili się wszystkim, co mieli – zarówno domem, jak i jedzeniem. „Ci, co byli w bieżęństwie, ciepło wspominają naród rosyjski, bo lepszego w świecie nie ma” – będą podkreślać uchodźcy kilkadziesiąt lat po powrocie.

Dość zgodne życie przerwała jednak rewolucja, a wraz z nią – bratobójcze walki, wzajemna nienawiść, głód i choroby. Uchodźcy, choć wcześniej dobrze przyjmowani, stali się kozłem ofiarnym i chłopcem (a częściej – statystycznie – dziewczyną) do bicia.

Oczywiście dziś żyjemy w innym świecie niż bieżący 1915 roku, inne są uwarunkowania polityczne, inne ludzkie lęki i zagrożenia. Oprócz języka, który słyszą od małego dziewczynki, kształtują je też inne czynniki. Ale warto przyrzeć się mechanizmom, z refleksją spojrzeć na kryjące się w naszym języku schematy. I nie chodzi o tę zniechęconą w Polsce polityczną poprawność, która frazesami dotyczącymi tolerancji dla inności tylko przykrywa tłące się gdzieś uczucia pogardy

i nienawiści. Raczej o refleksję, co naprawdę chcemy powiedzieć, i jak mogą działać pewne słowa. O świadomość.

By nie język mówił nami, ale my nim. To zakłada nieufność wobec słów wytrychów, które same cisną się na usta albo pod palce na klawiaturze.

ANETA PRYMAKA-ONISZK Dziennikarka, autorka nagradzanego reportażu *Bieżęństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*. Pochodzi z Podlasia, mieszka w Warszawie.

STRONY W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ

„Strony” to więcej niż zin. Każdemu z wydań towarzyszą billboardy rozmieszczone w przestrzeni miejskiej Warszawy. Zaproszeni przez Kolektyw Sputnik artyści wizualni mogą

w tej formie odnieść się do tematu przewodniego numeru. Do współtworzenia „Stron” #1 zaprosiliśmy Michała Frydrycha, Dianę Lelonek, Joannę Rajkowską i Andrzeja Tobisa.



DIANA LELONEK & ŁUKASZ PAWLAK (postprodukcja)

Lokalizacja: skrzyżowanie al. Solidarności z al. Jana Pawła II

Praca to montaż utrzymany w konwencji filmów postapokaliptycznych: gmach Ministerstwa Środowiska porośnięty przez środkowoeuropejski las mieszany. Jest to symboliczna zemsta drzew za obecną politykę ministerstwa i zwyczajną arogancję, kiedy to wychodzi się z założenia, że człowiek ma nieograniczoną władzę nad wszystkimi innymi formami życia.

Wciąż się zastanawiam, jak i czy za pomocą sztuk wizualnych, szybko i z jakimś skutkiem, reagować na bieżące problemy. Zazwyczaj pracuję w inny sposób, lubię mieć czas na refleksję, działać w szerszym kontekście; to pierwszy raz, kiedy podjęłam się takiej formy pracy, gdzie trzeba działać bardzo szybko, na gorąco.



ANDRZEJ TOBIS

Lokalizacja: Pałac Kultury i Nauki, wejście od ul. Marszałkowskiej.

Prace wybrane na citylighty to część większego cyklu zatytułowanego *A-Z (Gabloty edukacyjne)*. Każde ze zdjęć z cyklu jest opatrzone hasłem ze słownika *Bildwörterbuch Deutsch und Polnisch*, wydanego w 1954 roku w NRD.

Jeżdżę po Polsce i robię zdjęcia do projektu *A-Z (Gabloty edukacyjne)*. Widzę, co się dzieje z drzewami. Kilka miesięcy temu zrobiłem wybór zdjęć z cyklu i skompiłowałem w coś, co nazwałem *Poradnikiem dla drzew*. Każde zdjęcie opatrywałem radą dla drzew, na przykład „Stań się częścią infrastruktury sportowej”.

DIANA LELONEK Absolwentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, gdzie obecnie jest asystentką w VII Pracowni Fotografii Intermedialnej. Zajmuje się fotografią, którą łączy z innymi mediami na zasadzie artystycznego eksperymentu. Interesują ją działania z pogranicza bio artu.

ANDRZEJ TOBIS Malarz i fotograf. W wieku 20 lat przeprowadził się do Katowic, gdzie (z przerwami) mieszka do dziś. W 1995 roku ukończył tamtejszą Akademię Sztuk Pięknych, w której obecnie prowadzi jedną z dyplomujących pracowni malarstwa. Autor cyklu *A-Z (Gabloty edukacyjne)*.

Obóz dla Puszczy

MICHAŁ KSIĄŻEK

Miejsce jest dobre. Dzielą je z jaskółkami, gąsiorkiem i derkaczem. Z dzięciołem pstrym dużym, pleszką i dwójką uprzejmych sąsiadów. Są też strojnica włoska, spuszczał domowy i drwionek, ale o nich wie trzech, może czterech uczestników Obozu dla Puszczy w Pogorzalcach. Rosną tu także krwawnik, nawłóć i ostrożeń łąkowy, jednak nie wszyscy przypisaliby im taką cechę jak obecność. Jeszcze jedna istotna rzecz: na łąkę za obozem systematycznie zagłada orlik krzykliwy. Duży, drapieżny, ginący.

Od drogi w głąb działki biegnie ciąg budynków gospodarczych. Ustępuje dopiero prostopadłej bryle stodoły, starej stodoły, która zamyka widok i tworzy przestrzeń podwórka. Żeby istnieć, podwórko potrzebuje jeszcze kuchni polowej i kilku starych maszyn rolniczych z prawej strony. Oprócz tego studzienka, dwa wychodki w świerkach i ludzie. Ludzie, z tymi swoimi emocjami, spojrzzeniami i wrażliwościami. Z językiem polskim, który szeleści jak stare drzewa liściaste. Słychać s, ś, ć, sz, cz, ź, ż, dź. Jak w lesie.

– Śmierdźcie. Wy śmierdźcie – mówi spokojnym, mocnym głosem pan w średnim wieku. Tomek, Marcin, Rafał podnoszą oczy znad naprawianej bramy. Zadbany mężczyzna wygląda z nowego samochodu na miejscowych numerach. Zacięta twarz małżonki wyraża niezadowolenie z przykrego zapachu czy też widoku. Zaskoczenie jest tak wielkie, że ktoś z pracujących odpowiada cicho i bez sensu:

– Dzień dobry.

– Na was trzeba Putina albo Łukaszenki, przybłądy – kończy rozmowę czyścioch i odjeżdża w kierunku Teremisek, Bud, Hajnówki, w każdym razie gdzieś, gdzie jego zdaniem nie śmierdzi. Płoszy przy tym z pobocza jaskółkę, co wnosi w smutną scenę dodatkowy element niepokoju.

„Kilkanaście lat temu w Puszczy miał powstać park narodowy, na całym jej obszarze. Leśnicy się nie zgodzili, więc ustanowiono ochronę starodrzewów. Teraz ta ochrona została złamana. Dlatego protestujemy” – chciał mu powiedzieć jeden z oskarżonych o smród, ale nie zdążył. Uniósł tylko rękę i powąchał się pod pachą. Nic szczególnego nie wyczuł. Zwolennicy wycinki uważają, że martwe i zamierające drzewa śmierdzą, stąd zarzut, że ci, którzy ich bronią, też. Drwale i tartacznicy są szczególnie źli po ostatniej blokadzie harwestera. Policja brutalnie wtedy interweniowała, co szczególnie nagłośniło problem wycinki Puszczy.

Marcin źle znosi uwagę o smrodzie. Cały dzień będzie poruszony i niespokojny.

Na szczęście tylko znikoma część mieszkańców Puszczy i jej okolic uważa, że inni ludzie śmierdzą. W rzeczywistości nigdy jeszcze idea ochrony nie miała tylu zwolenników wśród miejscowych. Widać to w czasie blokad harvesterów, kiedy tutejsi wspierają protestujących jedzeniem, kocami, a przede wszystkim obecnością. Do Obozu dla Puszczy zajeżdżają samochody z ciastem, z wałówką i warzywami. Czasem jest też kiełbasa, na którą trzeba szukać chętnych, bo w obozie mięsożerców mało. Czasem alkohol, który trzeba oddać, bo nie ma powodu świętować, kiedy niszczą stary las, a i regulamin obozu zakazuje picia. Nawet sołtys zerka coraz przychylniej, choć początkowo roił o możliwości tajemniczego pożaru w stodole.

Ludzie przewijają się przez obóz jak stado batalionów na rozlewiskach. Jedni przyjeżdżają na dwa, trzy dni, inni na tydzień. Ale nawet jeśli jesteś tu jeden dzień, możesz coś zrobić dla Puszczy. Kamila i Literat zabezpieczają studnię. Ktoś nowy gotuje gar owsianki na śniadanie. Wiola z M. budują prysznic. Kasia organizuje w stodole kącik do malowania banerów, podśpiewuje. Monika buduje płotek wokół ogródka. Kaj zabiera się za budowę daszku nad palarnią, a Poeta uparcie niweluje górkę na podwórku. Aleks już kombinuje obiad, nie zna polskiego, ale pomaga mu jego przyjaciółka Iza.

Niby obowiązki są równo dzielone, niby ludzie się wymieniają, jak w jakiejś literackiej utopii, ale wszyscy wyjadą za dzień, dwa. Tymczasem A. możesz spotkać tu zawsze. Często zmęczona, częściej uśmiechnięta. Dziewczyna z wrażliwością samiczki mysikrólika, która siłę czerpie z wielkiej niezgody na niszczenie przyrody.

Za stodołą głosy ludzi mieszają się z głosami ptaków. Pośród przyjemnej polifonii stoją namioty gości, drewniana sławojka, widać miejsce ogniskowe. I dwa wielkie bzy czarne, jak to w polszczyźnie – zupełnie białe od kwiatów. Ludzie rozmawiają gorąco przy wygasłym ognisku. O decyzji Komisji Europejskiej: Może nałożyć kary finansowe za nieprzestrzeganie zobowiązań prawnych. O reakcji Komitetu Światowego Dziedzictwa na cięcia w strefach, w których nie powinno się pozyskiwać drewna. O tajemniczej decyzji Lasów Państwowych, która zezwoliła na cięcia w drzewostanach

ponadstuletnich, a której tekstu Lasy Państwowe nie chcą pokazać obywatelom.

Padają ciężkie liczby: już co najmniej szesnaście tysięcy metrów sześciennych drewna wycięto w drzewostanach ponadstuletnich Puszczy Białowieskiej. Nadleśnictwa są deficytowe, co roku potrzebują milionowych dofinansowań. W 2016 dopłaciliśmy do nich ponad dwadzieścia milionów złotych! A przecież w Białowieży pracuje raptem trzydziestu leśników, zaś w turystyce aż pięćset pięćdziesiąt osób! Samczyk dzierży gąsiorka słucha z uwagą, siadłszy na płocie. Przechyla główkę, jakby nie dowierzał. Kiedy rozmowa dochodzi do harwestorów, wielkich kombajnów, które w ciągu jednego dnia potrafią ściąć nawet dwieście drzew, gąsiorek odlatuje. On ma gniazdo w ogrodzie, nie w lesie. Nie musi martwić się o bezpieczeństwo młodych, jak na przykład dzięcioł trójpalczasty, ginący gatunek z czerwonej księgi, którego dziuple są wycinane wraz z suchymi i żywymi jeszcze świerkami. Powody do zmartwienia mają też inni z czerwonej księgi: sóweczka, białogrzbiet, włośchatka, jarząbek, muchołówka żałobna. I jeszcze rzadkie mchy i porosty, które w przeciwieństwie do ptaków nie potrafią uciekać.

– Obiad! – woła Aleks po polsku, ale z angielską fonetyką i akcentem, co w Pogorzalcach brzmi interesująco. Na obiad cieciora ze smażonymi warzywami, mięsożercy utyskują, jednak na obozowym zebraniu postanowiono, że kuchnia będzie wegetariańska. Za to sałatki ciekawi są wszyscy: Iza przyrzędziła ją z żółciaka siarkowego, intensywnie żółtej huby, którą można spotkać na okolicznych osikach. W smaku przypomina gąbkę do mycia pleców, ale po kilku przeżuciach i w przypływie optymizmu można uznać, że to delikatne mięso kurczaka. Nikt nie narzeka, kolejka jest długa, w obozie prawie sześćdziesiąt osób. Niebawem będzie ich ponad sto. Zjedzą wszystkie żółciaki w okolicy.

Marcin nie śpieszy się na danie z żółtego grzyba. I nie chodzi o to, że nad grzyby przedkłada kielbasę z kaszanką, bynajmniej. Nie może się pogodzić z zarzutem, że śmierdzi. Dotyka go to bardziej niż wtedy, gdy nazwano go najemnikiem, który zarabia za przykuwanie się do harwestera. Nikt tu nikomu nie płaci za protest. Ludzie bez rodzin, którzy wzięli urlopy bądź przerwali codzienny tryb życia, to chyba najlicniejsza grupa wśród Obrońców. Ba, nawet dokładają do wspólnej skarbonki i wpłacają na pomagam.pl. Oskarżanie ich o biznes boli, ale nie poniża tak jak zarzut o smród.

– Klasyczna dehumanizacja o poranku – ktoś próbuje żartować, ale nikt się nie śmieje.

Po obiedzie rozpoczyna się kolejne zebranie, w sprawie banerów albo też współpracy z miejscową ludnością. Tomek Oj nie bierze udziału, wciąż coś odmierza, przycina, remontuje.

Darek wystawił wszystkie rowery i bierze się za przegląd. Literat rozpoczyna wycieczkę przyrodniczą dookoła wsi, przyszło czterdzieści osób. Pierwszy porzucił pracę pilarza, był źle traktowany przez szefa. Drugi ima się w życiu różnych zajęć, teraz postanowił wesprzeć Obrońców. Trzeci pomieszkiwał na Podlasiu i układał wiersze, ale nie mógł znieść estetycznej zbrodni, czyli wyrębów w Puszczy. To już któreś ich popołudnie w obozie, miejscu, gdzie można znaleźć radę na bezradność i wyleczyć się z bezsilności.

Tuż przed wieczorem nad obozem przelatuje bocian biały: ma już młode, ale wciąż znosi budulec i umacnia gniazdo. Dzięcioł z dziobem pełnym kokonów i żywej jeszcze materii śmiga do dziupli w starej gruszy. Gąsiorek pojawił się na płocie, gotów na polowanie. Wszystkim się chce. Wszyscy są pełni wiary, że się uda. Wszyscy są. Wieczorem zapowiada się jeszcze jedno zebranie obozowe, na którym nowi goście poznają innych Obrońców, a przede wszystkim regulamin. Ustalane są zadania na jutro: kucharz, patrole, dyżur przy bramie. Ale to już ludzie robią w budynku stodoły, bez ptaków, sami. Chociaż nie: wysoko pod dachem, na poziomej belce, siedzi cicho jaskółka dymówka.

MICHAŁ KSIĄŻEK Poeta, reporter, kulturoznawca i ornitolog.
Autor nagradzanych książek: poetyckiej *Nauki o ptakach*,
eseju *Jakuck. Słownik miejsca* i reportażu *Droga 816*.

Wielkie żarcie albo Martha i 5 miliardów

JACEK KARCZEWSKI

Dopóki są ptaki, dopóty jest nadzieja

Jesienią roku 1813, gdzieś na horyzoncie środkowo-wschodnich, już Zjednoczonych Stanów Ameryki, pojawił się ciemny kształt. To, co najpierw wyglądało jak pulsująca chmura, szybko zmieniło się w gigantycznego węża, który wił się pomiędzy niebem a ziemią. Rozpoczął się przelot superstada gołębi wędrownych, które według opisującego to Johna Jamesa Audubona mogło liczyć ponad miliard ptaków. Malarz i rysownik – autor najdroższej książki w historii, zwany ojcem amerykańskiej ornitologii – wyliczył, że ów „wąż” ciągnął się przez blisko pięćset kilometrów i miał szerokość prawie pięciu kilometrów. Gołębie latające z prędkością stu kilometrów na godzinę zaciemniały niebo i wzniewały wiatr. Ziemia na trasie przelotu była pokryta ich kolorowymi piórkami i przydatnym nawozem.

Tak podróżowały północnoamerykańskie gołębie wędrowne. W tamtym czasie ich populacja mogła jeszcze liczyć co najmniej pięć miliardów – od 25 do 40% wszystkich północnoamerykańskich ptaków. Był to prawdopodobnie najliczniejszy gatunek ptaka, jaki kiedykolwiek żył na Ziemi. Sto lat później, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa i ludzie zwrócili swój talent do masowego zabijania przeciwko sobie, gołębi już nie było.

Ostatnia z licznych rodów, Martha, nazwana tak na cześć żony prezydenta Washingtona, zmarła ponad sto lat temu w ogrodzie zoologicznym w Cincinnati. Dokładnie we wtorek 1 września 1914 roku, około pierwszej po południu. Najprawdopodobniej miała dwadzieścia dziewięć lat. Po sekcji to, co zostało po Marcie (i po całym gatunku), wypchano i zamocowano na gałęzi w gablocie ekspozycyjnej. Ostatnią wolną samicę zastrzelił na swojej rodzinnej farmie w stanie Ohio czternastoletni Press C. Southworth. Był 24 marca 1900 roku. Ludzie jakby przeczuwali, że weszli w posiadanie czegoś wyjątkowego – i domowym sposobem wypchali ptaka. W miejsce oczu przyszyli dwa guziki. Trofeum wkrótce oddali do sali muzealnej w niedalekim Columbus, a smutny i koślawy eksponat do dzisiaj nazywany jest Buttons (Guzik).

Gołębie stanowiły źródło taniego mięsa dla niewolników, biedoty i inwentarza. Góry martwych lub jeszcze żywych ptaków przewożono koleją do szybko rozwijających się miast. Wiele zalegało w gnijących hałdach, bo kolej nie nadążała albo

dostawcy przeliczyli się z popytem. Wszędzie dogorywały w męczarniach porzucone, okaleczone ptaki. Wówczas przyjeżdżano świnie, aby je karmić niedobitkami. O zbliżających się przelotach lub miejscach gniazdowania ludzie informowali się za pomocą telegrafów.

Tam, gdzie osiedlały się gołębie wędrowne, wkrótce zaczynała się prawdziwa rzeź. Sprawę ułatwiał fakt, że ptaki te były wyjątkowo towarzyskie i wszystko robiły *en masse*. Na przykład, według opisów z 1878 roku, kolonia lęgowa w okolicach Petoskey rozciągała się wśród dziewiczych wówczas lasów Wielkich Jezior na długości blisko pięćdziesięciu i szerokości sześciu kilometrów! Apokaliptyczne sceny – ogień, dym, huk, fetor, krew, pióra oraz podniecenie łowczych, handlarzy i wszelkiej maści pośredników – trwały całymi tygodniami, aż do momentu całkowitego wyczerpania – „zasobów” i ludzi. Gołębie zabijano na wszystkie możliwe sposoby. Jedni odurzali je dymem, inni na śpiące na drzewach ptaki zarzucali sieci. Żeby się do nich dostać, ścinali całe drzewa. Szamoczące się gołębie dobijano pałkami lub ręcznie, nielotne młode strącano z gniazd tyczkami lub zmuszano do samobójczej ucieczki, podpalając gniazda płonącymi strzałami. Przede wszystkim jednak strzelano.

Mało kogo obchodził los kilku miliardów gołębi wymordowanych w ciągu niespełna dwóch pokoleń. Za to gdy na świecie została tylko Martha (jej partner George zmarł w lipcu 1910 roku), przed jej klatką każdego dnia zbierały się tłumy.

Śmierć Marthy odbiła się echem w Ameryce, ale nie powstrzymała masowej dewastacji dziewiczych krajobrazów ani nie uchroniła przed eksterminacją kolejnych gatunków. Jeszcze tego samego roku świat oglądał ostatnią żyjącą na wolności papugę karolińską. Ostatni z rodu, samczyk o imieniu Inka, umarł otoczony swoimi opiekunami 21 lutego 1918 roku – w tym samym ogrodzie zoologicznym i w tej samej woliery, w której wcześniej zmarła Martha. Nikt nie miał wątpliwości, że Inka zmarł z żalu po swojej (od zawsze) partnerce, Lady Jane, którą stracił latem poprzedniego roku.

Gdy nie było już papugi karolińskiej ani gołębi wędrownych, myśliwi wycelowali strzelby w kuliki eskimoskie – też bardzo liczny, wybitnie towarzyski gatunek, którego populację

liczono w milionach. Prawdopodobnie ostatniego kulika widziano na Barbadosie w 1963 roku.

Arkadii nie było

W 1598 roku na Mauritiusie pojawili się pierwsi osiedleńcy. W 1681 nie było tam już żadnego dodo. Ani tam, ani nigdzie indziej na Ziemi. Wielkie, tłuste i łagodne gołębie były „magazynem żywności” dla przepływających obok wyspy okrętów. To samo, tylko wcześniej i na większą skalę, wydarzyło się na nieodległym Madagaskarze. Zanim pojawili się tam ludzie, na wyspie żyło około dziesięciu gatunków nietlotnych mamutaków. Największy z nich, *Aepyornis maximus*, miał prawie trzy metry wysokości, co przy wadze niespełna pół tony czyniło go prawdopodobnie najcięższym ptakiem w historii Ziemi. Równie rekordowe były rozmiary jego jaj, które mierzyły metr w obwodzie. Do dziś na niektórych plażach Madagaskaru można znaleźć fragmenty ich skorup. Ostatnie mamutki przetrwały do początku XVII wieku.

Podobny schemat powtarza się za każdym razem i wszędzie tam, gdzie dotarli ludzie. Założenia o rzekomej symbiozie i życiu naszych przodków w harmonii z Naturą (dzisiaj powiedzielibyśmy: zrównoważonym korzystaniu z zasobów) są mitem.

Zanim Polinezyjczycy dotarli na Nową Zelandię – najprawdopodobniej około 1300 roku – była niczym wielki, naturalny rezerwat ptaków. Przed przybyciem ludzi nie było tam innych ssaków. Rolę wielkich roślinożerców, charakterystycznych dla wszystkich kontynentów i dużych wysp, pełniły ptaki – w tym co najmniej jedenaście gatunków moa. Jak przystało na wielkich roślinożerców, niektóre były naprawdę ogromne. *Dinornis maximus* miał ponad trzy metry wzrostu i ważył jakiegoś 270 kilogramów. Około roku 1700 wszystkie moa były już wybite. Po wielkich ptakach zostały tylko kości i wyrabiane z nich ozdoby. Razem z moa zniknął ogromny orzeł *Harpagornis moorei*, który na nie polował. Wyeliminowanie jakiegos gatunku zawsze wpływa na inne gatunki.

Na Nowej Zelandii wygasły wówczas co najmniej 24 inne gatunki. Eksterminacja postępowała systematycznie, od północy na południe, wraz z kolonizacją wysp. Napływ białych od około 1840 roku spowodował zanikanie kolejnych ptaków. Łącznie, odkąd na Nowej Zelandii pojawili się ludzie, wyginęło tam co najmniej 40% gatunków – czterdzieści pięć różnych, niepowtarzalnych form życia.

Jeszcze gorszy los spotkał ptaki żyjące na Hawajach. Generalna zasada była (i wciąż jest) taka, że im dłużej dana wyspa jest skolonizowana, tym bardziej przekształcany jest jej krajobraz i tym bardziej zubożana jest jej przyroda. W najbardziej ekstremalnej postaci można to prześledzić na Wyspach Wielkanocnych. Wyspiarska cywilizacja Rapa

Nui upadła na długo, zanim zawitali tam biali odkrywcy. Po czasach świetności zostały tylko tajemnicze posągi w ogołoconym, jałowym krajobrazie. Na tym tle wyjątkiem są Wyspy Galapagos – żadnej ekstynkcji! Dlaczego? Klimatycznie mało przyjazne Galapagos nigdy nie zostały skolonizowane przez tzw. ludy pierwotne.

Polinezyjczycy nie tylko zjadali ptaki (podobnie jak inne zwierzęta) i zdobili się ich piórami i kośćmi. Sprowadzali też ze sobą świnię, psy, szczury oraz dokonywali wielkich przekształceń w krajobrazach wrażliwych, wyspiarskich ekosystemów. Po nich przybywali biali kolonizatorzy – ze swoimi psami, kotami, kozami oraz bronią palną. Często towarzyszyła im obsesja trofeów, za które kolekcjonerzy i muzea gotowi byli płacić wielkie sumy.

W ciągu ostatnich pięciu stuleci z pacyficznych wysp zniknęła co najmniej połowa zamieszkujących je gatunków ptaków. Badacze tematu szacują, że tylko w ciągu ostatniego tysiąclecia doprowadziliśmy do zagłady jedną piątą gatunków na Ziemi. Najprawdopodobniej jeszcze większego spustoszenia dokonali Polinezyjczycy w czasie trwającej kilka tysięcy lat kolonizacji. O ile na wyspach do upadku wielu gatunków i całych ekosystemów doprowadziły zawleczone tam domowe lub dzikie zwierzęta, o tyle na kontynentach praktycznie wszystkie ekstynkcje spowodowane były całkowitym wybiciem zwierząt.

Wielkie zarcie

30 października 1594 roku na przyjęciu weselnym księżniczki Anny Hohenzollern i Jana Zygmunta Hohenzollerna – późniejszego regenta i księcia pruskiego za czasów Zygmunta III – zaproszeni goście mogli zjeść m.in.: 13 żubrów, 20 łosi, 10 jeleni – byków, 22 łanie, 36 dzików, 29 prosiąt, 2 niedźwiedzie, 48 saren, 272 zające, 5 łabędzi (najprawdopodobniej były to łabędzie nieme), 123 słonki, 279 cietrzewi, 433 jarząbki, 47 kuropatw, 413 dzikich kaczek.

Jeszcze więcej mogli zjeść zaproszeni na ucztę wydaną przez George’a Neville’a z okazji objęcia przez niego urzędu Arcybiskupa Yorku, we wrześniu 1465 roku. Do stołu podano między innymi: 6 dzikich byków (może chodziło o żubry importowane z kontynentalnej Europy, a może o tury, które ostatecznie eksterminowano niespełna dwa wieki później), 1000 jagniąt i owiec, 304 cielęta, 304 prosiąt, 4000 królików, 400 łabędzi (prawdopodobnie chodziło o łabędzie nieme), 2000 gęsi, 1000 kogutów kapłonów, 400 siewek (nie sprecyzowano, jakich gatunków), 1200 przepiórek, 2400 batalionów, 104 pawie, 4000 krzyżówek i cyranek, 204 żurawie, 2000 kurcząt, 4000 gołębi, 204 bąki, 200 bażantów, 500 kuropatw, 400 słonek, 100 kulików, 400 czapli siwych, 1000 czapli białych i/lub nadobnych.

Dla szczególnie wybrednych odławiano żywe ptaki, które następnie karmiono w taki sposób, aby nadać ich mięsu pożądany smak. Przerażone dzikie ptaki często nie chciały jeść. To nie zniechęcało doglądających. Przy pomocy lejków i rurek karmili na siłę czaple, bociany, żurawie czy łabędzie – tak jak ciągle jeszcze w niektórych regionach tuczy się domowe kaczki i gęsi na *foie gras*. Szczególnym przysmakiem były pisklęta. W ciągu kilku kwadransów znikwały całe kolonie mew czy rybitw. W Europie bardzo popularne były (tu i ówdzie nadal są!) najróżniejszych konstrukcji skrytki lęgowe dla wróbli. Ptaki chętnie zajmowały fałszywe budki, po czym ludzie w odpowiednim momencie wybierali z nich młode.

Jeszcze niespełna sto lat temu masowo wybierano też jaja ptaków. Każdej wiosny większość pierwszych zniesień naszych żurawi czy czajek kończyła w chłopskich koszach. W zachodniej Europie był to duży biznes, który np. na Wyspach Brytyjskich prawie doprowadził do wyginięcia czajki, rycyki czy bataliony. Z tego samego powodu kurczyły się lub zniknęły całe kolonie mew i ptaków morskich. Zawodowi i przygodni wybieracze każdego roku pozyskiwali miliony jaj. Nawet małe jajeczka wróblaków były uważane za wielki przysmak. Smakosze szczególnie cenili jaja świergotków, ortolanów i skowronków – podobnie zresztą jak same ptaki.

Jaja dzikich ptaków wykorzystywano też w przemyśle – w farbiarstwie, mydlarstwie, obróbce skór, do produkcji nawozów i karmy dla zwierząt gospodarskich.

W kontakcie z tradycją

W 2001 roku wprowadzono na Grenlandii zakaz polowań wiosennych na lęgające się tam ptaki. Ale już w 2004 zakaz został zniesiony. Protestowali przeciwko niemu zarówno zawodowi myśliwi, jak i zwykli obywatele. Argumentowali, że polowanie na ptaki to ważna część inuickiej tradycji oraz „sposób na pozostawanie w kontakcie z ich korzeniami”.

Grenlandzcy myśliwi, podobnie zresztą jak rybacy, korzystają z unijnych dotacji.

Chroniący tradycję mieszkańcy Grenlandii w czasie polowań używają dzisiaj zupełnie nietradycyjnych narzędzi. Zawodowi myśliwi, tak samo jak liczni obecni tam amatorzy, mają do dyspozycji nowoczesne łodzie motorowe, którymi podpływają do lęgowych klifów od strony morza. Wówczas sięgają po równie nowoczesne strzelby. W czasie każdej takiej eskapady giną tysiące ptaków. Nikt nawet nie kwapi się, aby je zebrać. Ich ciała wypłukiwane są przez morze i w wielkich ilościach zalegają na brzegach. Polowania nie mają już nic wspólnego ze zdobywaniem żywności – tę współcześni Inuici kupują w supermarketach. Nie inaczej jest na arktycznych wybrzeżach pobliskiej Kanady i na Alasce.

W roku 1845 na wybrzeżach Grenlandii było ok. 100 tysięcy wielkich, wielogatunkowych kolonii ptaków morskich. Dzisiaj zostało tam kilka tysięcy małych.

W obliczu niespotykanej w historii Ziemi presji na wszelkiego typu siedliska naturalne lub półnaturalne, polowania niosą za sobą coraz większe ryzyko. Najbardziej destrukcyjne są polowania wiosenne. Ale każde polowanie, bez względu na porę roku, oznacza dla zwierząt rozbitcie struktury społecznej, mniej czasu na jedzenie lub odpoczynek, silny stres i zmęczenie – w konsekwencji również zmniejszoną czujność wobec drapieżników. U amerykańskich głowienek, po zmniejszeniu limitów łowieckich, śmiertelność kaczek w skali roku spadła z 50% do 14%-21%. Podobne dane pochodzą z Europy, gdzie populacje niektórych gęsi w porównaniu z latami sześćdziesiątymi wzrosły dwa, a nawet dziesięć razy. Po wprowadzeniu zakazu polowań odbudowuje się m.in. europejska populacja oharów czy bernikli białoliciej.

Tylko w Polsce strzela się każdego roku do ok. pół miliona ptaków. W pechowej trzynastce znalazły się: krzyżówki, głowienki, czernice, cyraneczki, gęsi białoczelne, zbożowe, gegawy, jarząbki, kuropatwy, bażanty, łyski, słonki, grzywacze...

W ciągu ostatnich pięciu lat ubyto nam około dziesięć tysięcy par boćków.

Na naszym kontynencie najwięcej kontrowersji budzą masowe polowania w krajach śródziemnomorskich – bez względu na sezon i gatunek. Nasze słowiki, jaskółki, turkawki, orliki czy bociany zabijane są przy użyciu broni palnej, najróżniejszych siideł i pułapek, sieci, lepów, prądu, odurzających dymów lub karmy. Często z wykorzystaniem żywych ptaków, którym zaszywa się oczy (!) i wystawia na wabia. Do dużych ptaków strzela się jak do żywych tarcz, te mniejsze bywają zjadane. Ocenia się, że ginie tam ponad miliard ptaków rocznie. Na Bliskim Wschodzie strzelanie do ptaków zaczęło być traktowane jako forma męskiej inicjacji dla nastolatków.

Wyrok odroczone

W czasie polowań wiele ptaków zostaje rannych i skazanych na powolną śmierć. Ogromnym problemem jest toksyczny ołów, który w postaci śrutu strzelniczego dostaje się do otoczenia. Szczególnie dużo zalega go w wodach, skąd dostaje się do żołądków połykających go ptaków. W niektórych zatokach na północnych wybrzeżach Ameryki stężenie ołowiu pochodzącego ze śrutu jest tak duże, że przeżywalność długowiecznych skądinąd edredonów okularowych zmniejszyła się o 35%! (U nas takich badań się nie prowadzi).

Połknięcie od jednej do trzech śrucin (ok. 16 mg na kilogram masy ciała) wystarcza, aby zabić ptaka wielkości kaczki czy łabędzia. W wyniku zatrucia dochodzi do paraliżu jelit

oraz bezwładu kończyn i szyi. Umieranie może trwać nawet kilka tygodni. Tak, jak w przypadku innych czynników, tak i tu następuje efekt kumulacji – coraz więcej śrucin ołowianych zalega w naszym środowisku. Ocenia się, że tylko w Stanach Zjednoczonych, gdzie już wprowadzono śrut stalowy w miejsce zakazanego śrutu ołowianego, na terenach polowań zalega siedemdziesiąt tysięcy śrucin w przeliczeniu na jeden hektar. Rocznie co najmniej 2,2 miliony ptaków umiera tam z powodu ołowicy.

Czy śmierć Marthy nas czegoś nauczyła?

W ciągu stu lat od śmierci Marthy z Ziemi zniknęło kolejnych pięć miliardów ptaków. Co ósmy gatunek jest dzisiaj zagrożony wyginięciem do końca wieku. Z tego 182 gatunki są zagrożone krytycznie, co daje im zaledwie 50% szans na przetrwanie najbliższych dziesięciu lat. Zagrożonych jest też 24% wszystkich ssaków, 27% gadów, 20% płazów i 30% ryb. Ponosimy za to pełną odpowiedzialność. Po raz pierwszy w dziejach Ziemi jeden gatunek zagraża życiu całej planety.

Szacuje się, że tylko w Europie straciliśmy co najmniej miliard ptaków różnych gatunków. Największe spadki dotyczą ostatnich trzech, czterech dekad. Populacja skowronka, podobnie jak innych ptaków tzw. krajobrazu rolniczego, zmniejszyła się o ponad jedną trzecią. Liczebności poczciwej kuropatwy czy turkawki spadły odpowiednio o 85% i 95%. Dramatyczne spadki obserwujemy u czajki. U nas ostatnio przestały się lęgnąć dzierzby: rudogłowa i czarnoczelna. Wcześniej wyginęły m.in. dropie i mityczne nury. Bajecznie kolorowych krasiek pozostało może dwadzieścia kilka par. Na krawędzi przetrwania znalazły się też puszczańskie głuszce i cietrzewie, które w 1994 roku z listy gatunków łownych trafiły bezpośrednio do Polskiej Księgi Gatunków Zagrożonych. One, tak jak bataliony i coraz więcej innych gatunków, bez naszego wsparcia nie dadzą sobie rady. W poważnych tarapatkach są nasi mali (i duzi) migranci. Trudno im nadążyć za zmianami klimatycznymi. Znikanie miejsc, gdzie mogłyby odpocząć i coś zjeść (zamieniane są na pola, drogi, miasta i fabryki) oraz prześladowania i polowania na trasie migracji czynią ją jeszcze bardziej ryzykowną.

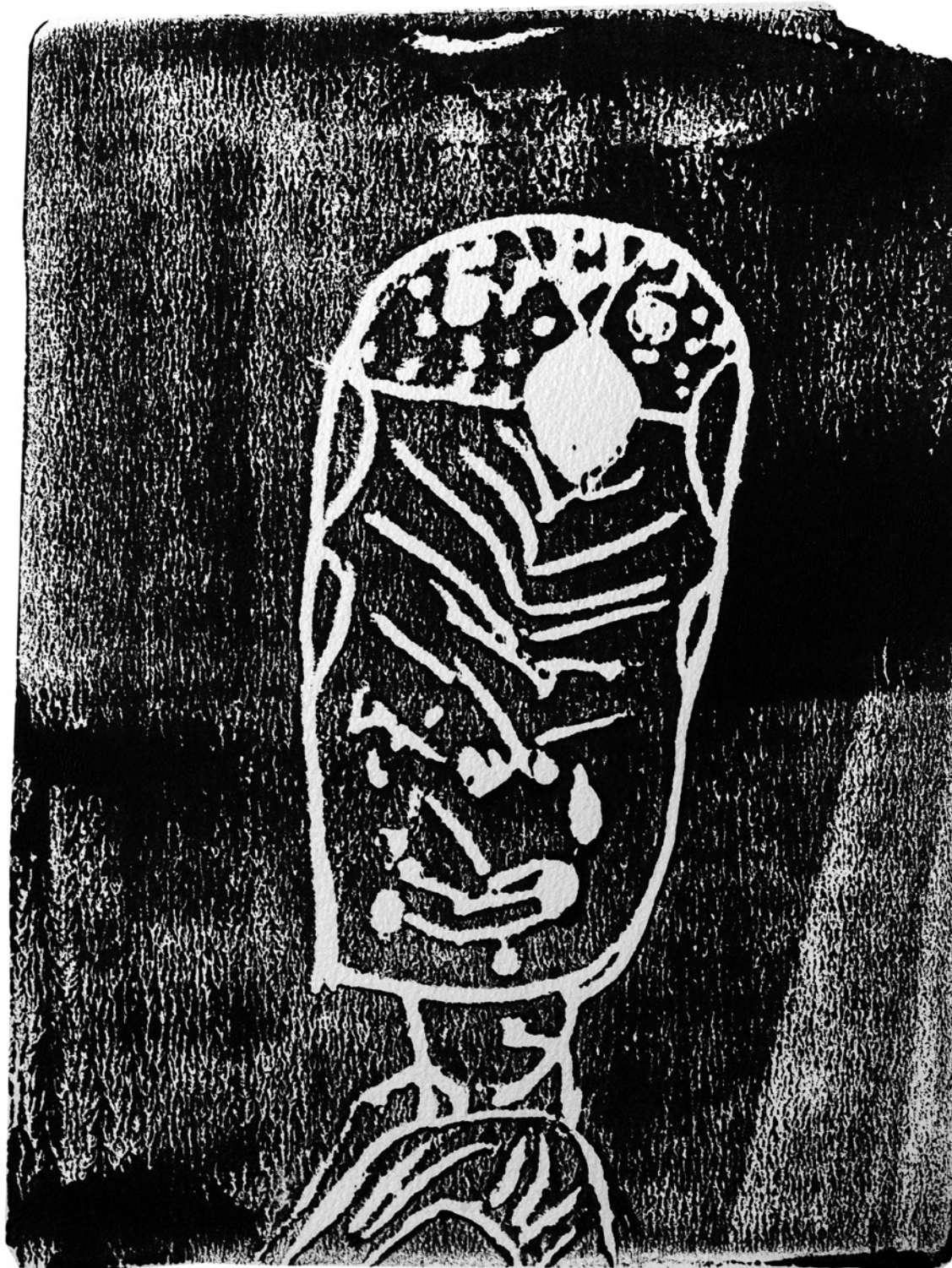
W wielkim tempie znika charakterystyczna dla naszych wsi mozaika pól, łąk, miedz i zagajników. Zastępują ją wielkoobszarowe rolnictwo i rozległe monokultury. Miła dla oka różnorodność miała życiowe znaczenie dla ziół i owadów oraz wszystkich istot, które od niej zależały. Te, które większość czasu spędzają na ziemi, mają dużo szczęścia, jeśli ujdą z życiem przed nadjeżdżającymi maszynami, co w przypadku piskląt jest prawdziwym cudem. Tony pestycydów i herbicydów czynią nasze pola tyleż trującymi, co pozbawionymi jakiegokolwiek życia, a przez to pożywienia.

Typowo polską specjalnością ostatnich lat jest dewastacja tzw. krajobrazu zurbanizowanego. Konsekwencje tego wykraczają daleko poza aspekt estetyczny i kulturowy. Antyprzyrodnicze (i antyklimateczne) parki, skwery i przydomowe ogrody w skali całego kraju mogą wkrótce doprowadzić do spadku populacji ptaków ogrodowych. Tymczasem żyjemy w czasach tak wielkiej presji na przyrodę (antropopresji), że każdy wróbel czy modraszka są dziś na wagę złota. Historia Marthy i jej współplemieńców uczy nas, że w świecie przez nas rządzonej nawet superliczebność nie wystarczy, aby uchronić gatunek przed zagładą. Parafrazując Johna Jamesa Audubona: światu nie odziedziczyliśmy od naszych ojców, lecz pożyczylimy go od naszych dzieci.

Ludzie różnych kultur tradycyjnie postrzegali ptaki jako posłańców bogów. Ptaki miały to, czego my zawsze pragnęliśmy: pięknie śpiewały, nosiły wyszukane ozdoby i wspaniale się prezentowały, wreszcie z lekkością unosiły się pod same niebiosa, gdy tylko chciały... Współcześnie różne agendy rządowe na całym świecie już całkiem oficjalnie uważają ptaki za tzw. organizmy wskaźnikowe – naturalny system wczesnego ostrzegania. Nic dziwnego, bo ptaki w wielkiej różnorodności gatunkowej zamieszkują całą Ziemię i wszystkie typy krajobrazów i siedlisk. Do tego są bardzo mobilne i stosunkowo łatwo obserwowalne.

Na całym świecie giną miliony ptaków. Wiele z nich sami bezmyślnie zabijamy. Miliony innych wysyłają nam ostrzegawcze sygnały. Pokazują, gdzie jest problem i podpowiadają, jak go rozwiązać. My jednak ze straceńczym uporem ignorujemy naszych posłańców i to, co mają nam do powiedzenia.

JACEK KARCZEWSKI Z wykształcenia psycholog, prezes stowarzyszenia Ptaki Polskie. Autor wielu artykułów, można go też usłyszeć w radiu – najczęściej w TOK FM. Od lat działa na rzecz ochrony przyrody. Jak mówi, ma odlot na punkcie ptaków.



ANTONINA PIECHOTA

Sóweczka, wszystkie prezentowane grafiki pochodzą z książki *Sowy polskie duże i małe*.

ANTONINA PIECHOTA Lubi przyrodę, sport, muzykę, malować i rysować, prześadywać z rodzicami w kawiarniach i poznawać nowych ludzi. Po wakacjach będzie uczennicą drugiej klasy szkoły podstawowej. Książkę *Sowy polskie duże i małe* Antosia zrobiła w 2016 r. jako prezent urodzinowy dla swojej mamy.



Uszatka Błotna



Puszczyk Uralski



Puszczyk



Puszczyk Mszarny



Pójdźka



Puchacz



Sowa Jarzębata



Sowa Śnieżna

Piechotę

OLGA GITKIEWICZ

Późno się nauczyłam jeździć, za to wcześniej się nauczyłam chodzić. I jak ruszyłam, to już szłam. Z głową w chmurze pyłu, choć wolałabym jak w szwajcarskim zegarku.

Do podstawówki maszerowałam ponad dwa kilometry w jedną stronę, do ogólniaka ponad trzy. Urok miasta z komunikacją miejską raz na godzinę. W godzinach szczytu.

W miastach z komunikacją co kwadrans też chodziłam, bo już przepadło, przywykłam. Chodzenie to mój komunikacyjny nawyk. Chodzę we Wrocławiu. W pozbawionym komunikacji miejskiej Szydłowcu, w usamochodowanym Kaliszu. Poznaniu. Koninie. Gdańsku. W Warszawie też chodzę, bo niepokoją mnie tramwaje odjeżdżające co dwie minuty. Zresztą po Warszawie chodzi się nieźle (pomijając poziom hałasu komunikacyjnego, ale ten i tak jest wyższy we Wrocławiu i Gdańsku) – stolica ma opracowane wytyczne dotyczące kształtowania ruchu pieszego.

Nie chodziłam po Bydgoszczy i Lublinie, szkoda, bo tam w zeszłym roku przyjęto rozwiązania dotyczące osób poruszających się po mieście na piechotę. Bydgoszcz stawia ponoć na komfort pieszych i chce budować woonerfy, antyzatoki, przejścia ze zwężonym przekrojem jezdni. W Lublinie inteligentny system sterowania ruchem ma uwzględniać nie tylko przepustowość i komfort kierowców, ale i pieszych.

Trochę mnie rozczuliło, że standardy opracowano, wzorując się na przyjętych wcześniej rozwiązaniach dotyczących dróg rowerowych. Ale wzorem dla Bydgoszczy i Lublina było też Porto – tam w 2015 roku opracowano model do identyfikacji, analizy i usprawnienia istniejącej infrastruktury dla pieszych, czyli Smart Pedestrian Network (SPN). Władze Porto zleciły opracowanie SPN, bo chcą zachęcić do przemieszczania się pieszo.

Pewnie dlatego, że chodzenie piechotą jest najmniej kosztownym społecznie sposobem transportu. Pieszy nie generuje zanieczyszczeń (pod warunkiem, że nie pali i nie śmieci) ani szczególnych wydatków. Według niektórych wyliczeń generuje nawet pewne oszczędności – nie tylko we własnym portfelu. Tymczasem w większości polskich miast można odnieść wrażenie, że nawet te relatywnie niewielkie koszty inwestycji w infrastrukturę dla pieszych kosi się do zera. Chodniki są nierówne i nie układają się w spójną sieć, a pasy lokuje się nie tam, gdzie się chodzi, tylko losowo tam, gdzie krzyżują się

drogi samochodów. Dlatego pieszy chodzi odcinkami. Nie jest przechodniem, tylko przestojem. Czeka na zielone, które już się świeci na przeciwległym pasie. Gdy wreszcie doczeka się zieleni na swoim, przechodzi i nie ma więcej ruchów, koniec kolejki, czerwone. Stoi na wysepce. Bywa, że samochody mają swoje dwie zmiany świateł, a pieszy w tym czasie czeka. Czasem moknie, marznie i klnie. Jest na samym końcu komunikacyjnego łańcucha.

Chodzenie jest też ponoć najbezpieczniejszym sportem. Możliwe, że najbezpieczniejszym wśród ekstremalnych. Na pieszego się trąbi, pieszego się pogania, pieszy wiecznie gdzieś biegnie z wywieszonym jęzorem, z siatami u kostek, bo już mu miga to zielone, już nadjeżdża ten sznur diesli, żeby sunąć przez zieloną falę, *You shall not pass* mu mówią, a jeszcze wyzwą go od świętych krów, tylko że to jest świętość pod minimalną ochroną. Bo Polska uznawana jest za kraj najbardziej niebezpieczny i najmniej przyjazny dla pieszych w całej Unii Europejskiej. Owszem, co trzeci wypadek z udziałem pieszych powodują sami piesi. Głównie – poza miastem. Ale nie zmienia to faktu, że na polskich drogach pieszy nie może się czuć bezpiecznie nawet wtedy, kiedy wchodzi na jezdnię na przepisowym zielonym świetle i nawet wtedy, gdy ma odbłaski po zmroku.

Ja (szybki rachunek sumienia) niemal nie wchodzę na jezdnię na czerwonym. I w deszcz nie, i w mróz, i w błoto pośniegowe. Ale z czerwonym zwykle z jezdni schodzę. A kiedy ciągnę za rękę dziecko, czerwone na jakimś odcinku przejścia dla pieszych mam jak w banku.

Zresztą światła to niejedyna moja udręka. Chodzę przez mgłę, przez deszcz, przez smog, przez minus dziesięć, przez siedemdziesiąt decybeli, rozpędzam się i stop, na chodniku przede mną auto zaparkowane tak, że nie przejdę. A chodnik to ponoć moja przestrzeń. Na jezdni mam swoje zaznaczone pasami strefy, ale one nie są moje. One mi są tylko na chwile – zbyt krótkie – wypożyczone. Ile razy jechałam samochodem i przez cały cykl świateł nie mogłam przejechać przez skrzyżowanie, bo stali na nim piesi? Zero.

Za to setki razy nie mogłam przejść przez pasy, bo stały na nim

tramwaj,
osobówki,
ciężarówki.

Choćby ostatni dzień maja, Wrocław, róg Podwała i Świdnickiej. Dwie zmiany świateł przeszłe niedokonane, bo przejście dla pieszych zajęły tramwaje. Obok mnie człowiek z dzieckiem około dwuletnim. Zielone optymistycznie błyskało przez szyby czternastki. Staliśmy. Kolejnych przykładów szukać w pamięci nie muszę, mam zdjęcia w pamięci telefonu. Zdjęcia samochodów, które nagle równały się ze mną na chodniku, żeby mnie zgrabnie minąć w poszukiwaniu czegoś na kształt miejsca parkingowego. Mam fotki aut, które przejeżdżały przez przejście dla pieszych. Zgodnie z kierunkiem ruchu pieszych, nie aut. Na czerwonym.

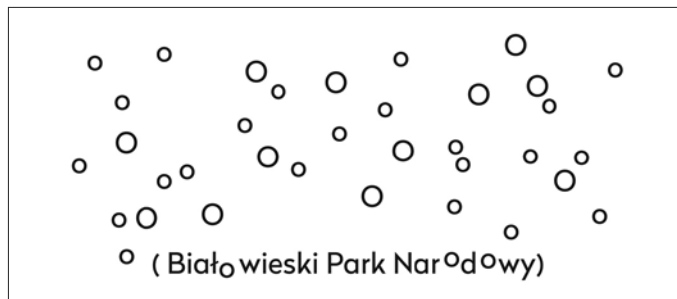
Tak, robię zdjęcia, tak, klnę i marznę, podbiegam i moknę. Ale chodzę. To jest przecież sensowne, prozdrowotne i generuje mało kosztów społecznych. Nie szkodzi środowisku, uspokaja i daje poczucie zjednoczenia z naturą. Dzięki chodzeniu eliminuję depresję, funduję sobie sprawne stawy, wiotką talię i cholesterol na akceptowanym poziomie. Zwłaszcza kiedy przekraczam mityczne dziesięć tysięcy kroków dziennie (tak naprawdę to za mało), a ja przekraczam notorycznie. Poza tym kiedy się chodzi, odmładza się umysł. Ponoć godzina marszu trzy razy w tygodniu przez pół roku to mózg młodszy o prawie trzy lata. Umysłowo muszę być we wczesnej podstawówce. A propos umysłu. Naprawdę dużo myślę, gdy chodzę po mieście. Zatrzyma się czy się nie zatrzyma? Zdążyć czy zamiga? Czy ten w tym oplu, który niby to mnie puszcza, a tak naprawdę raz po raz naciska gaz, hamulec, gaz, hamulec, gaz, pospiesza mnie, szczerze tym zderzakiem, przejedzie mi po łydce?

Ktoś to obliczył: żeby chodzenie miało sens, powinnam pokonywać nie tylko określony dystans, ale i utrzymać prędkość około czterech kilometrów na godzinę. Czyli chodzić miarowo, bez sprintu, jak w rytm piosenki Pablopavo. W takim tempie wdycha się najmniej smogu i innych zanieczyszczeń. Więc w porządku, idę i niby najmniej, ale jednak coś wdycham. Coś: pył zawieszony, który dziurawi płuca, zwęża naczynia krwionośne i drogi oddechowe, zwiększa ryzyko zawału serca i udaru, i, oczywiście, może być rakotwórczy. Lotne zanieczyszczenia organiczne wdycham też, a one mogą podrażniać skórę i oczy i, oczywiście, zwiększają ryzyko raka. Ozon. Od niego się kaszle, od niego się czuje bóle w klatce piersiowej. Dwutlenek siarki. Jakies tlenki. Ołów, który uszkadza wszystko, mózg, nerwy, kości, nerki, mąci krew.

Ale kiedy sobie zbilansuję to chodzenie i wdychanie, ponoć i tak jestem na plusie. Gdybym jeździła samochodem albo autobusem, nie wyrobiłabym tej swojej dawki aktywności fizycznej. Dokładałabym większą cegłę do produkcji smogu. Nie miałabym talii, miałabym depresję. Poza tym ja to jednak lubię. I chodząc, najlepiej poznaje się miasto.

OLGA GITKIEWICZ Dziennikarka i redaktorka, pisze też prozę. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu i socjologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Dużo chodzi piechotą. Nazywa to zbieraniem materiału do książki.

STRONY W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ



MICHAŁ FRYDRYCH

Lokalizacja: ul. Senatorska 40 przy pl. Bankowym

Praca to małe i duże litery O, które układają się w napis Białowieski Park Narodowy. Używam do tego klasycznej formy konceptualnej nawiązującej do prac Stanisława Dróżdża, którego niesamowicie cenię.

Nasuwa mi się pytanie, czy to angażowanie się, a może bardziej dbanie o coś takiego jak środowisko czy natura, czyli ta część życia, bez której nie możemy istnieć – czy to jest zaangażowanie społeczne, czy może jednak egzystencjalne.

MICHAŁ FRYDRYCH Malarz, autor murali i akcji artystycznych. Absolwent malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował też na Universität der Künste w Berlinie. Zajmuje się malarstwem i tworzeniem na jego podstawie przestrzeni narracyjnych, czasem także sztuką w przestrzeni publicznej.

Horyzont przestanie nęcić zielenią

Wzorem trapera był wiertnik, który zamrożniętą konserwę przecinał jednym pociągnięciem noża, a zmarznięte mięso popijał odłamkami lodu rozpuszczanymi pod językiem

FILIP SPRINGER

Oto więc jest Łódź i fałsz Historji zamrożonej wbrew konieczności dziejów.*

Coś pra. Arcyzmrożenie. Takie sprzed początków wszystkiego, z załączka dziejów. Wieczna zmarzlina. Wszechlód. Ukryty głęboko, niewidoczny. 357 metrów pod ziemią. Przyczajony.

Wieść gruchnęła w roku 2010. „Odkrycie na skalę światową” – krzyczały nagłówki lokalnych i ogólnopolskich gazet. Geolodzy prowadzący odwierty w rejonie wsi Udryn i Szypliszki natknęli się na zmrożone skały. Tam, gdzie według wszelkich przewidywań temperatura powinna już rosnąć, ich pomiary wykazywały jej spadek. Znaczny spadek. To ślad po lodowcu, który przykrywał ten teren trzynaście tysięcy lat temu. Odcisnął w pejzażu głęboki, zachwycający ślad i cofnął się na północ. Teraz okazało się, że pod ziemią zostało po nim coś jeszcze. Łódź zdolny przetrwać wieczność.

Mało kto tak naprawdę rozumiał to odkrycie, ale wszystkim działało ono na wyobraźnię. Pojawiły się różne teorie.

– To dlatego u nas najzimniej – mówili jedni. – W każdej prognozie pogody Suwalszczyznę wymieniają, bo łódź nas trzyma.

– Wariatów, pomyślników tu więcej niż w innych regionach Polski, jakby coś niewidocznego sprawiało, że się ludziom w głowach miesza. Może to ta zmarzlina – dodawali inni.

Tylko Jerzy Ząbkiewicz powtarzał swoją od lat znaną mantrę:

– To właśnie dowód, że trzeba otworzyć tę kopalnię – mówił. – Wykopmy w końcu skarby, które mamy tu pod ziemią.

Ząbkiewicz to lokalny aktywista z niezaspokojonymi aspiracjami politycznymi. Regularnie kandyduje w wyborach samorządowych i parlamentarnych. Od lat jego program polega na forsowaniu tezy, że Polska powinna zacząć wydobywać rudy metali, które bogatymi złożami zalegają pod Suwalskim Parkiem Krajobrazowym. Odkrycie zmarzliny było dla niego tylko kolejnym przemawiającym za tym argumentem.

„Dzisiaj świat dysponuje takimi technologiami, że złoża można wydobywać bez uszczerbku dla środowiska” – mówił „Gazecie Współczesnej”. – „Wydrąża się specjalny korytarz, a urobek jest wydobywany na powierzchnię w miejscu oddalonym nawet o kilkanaście kilometrów. Potem wszystko to wywozimy do polskich hut, gdzie następuje przeróbka. Środowisko na tym nie cierpi, mieszkańcy mają tysiące miejsc pracy, do gminnych kas wpływają opłaty za eksploatację, a Polska przestaje importować rudy żelaza”.

We wspomnieniu nie ma różnicy między światem i wyobrażeniem świata.

– Moich rodziców tu przywieźli, bo mieli tych wszystkich górników żywić, a oni byli po technologii żywności – opowiada mi Wojtek Pająk, miejski radny. Słowo „górnik” nie jest tym, które spodziewałem się usłyszeć akurat w Suwałkach. Siedzimy na ławce nieopodal Kaczego Dołka, czyli wypełnionego wodą zagłębienia w ziemi pośrodku sporego trawnika. Dzieciaki rzucają kamykami, dorośli rozsiedli się na ławkach i plotkują. Starsza pani wyprowadza psa, ktoś siedzi na trawie i rozmawia przez telefon. A dookoła bloki. Jak okiem sięgnąć betonowe szafy mieszkalne. Wojtek się tu wychował. To osiedle Północ, suwalska sypialnia, blokowisko, jakich wiele, ale też jeden z nielicznych namacalnych dowodów, że sny o górniczej potędze miasta naprawdę ktoś brał na poważnie. I to na długo przed Jerzym Ząbkiewiczem.

– To miało być osiedle górników i tych, którzy mieli ten przemysł obsługiwać – wyjaśnia Pająk. – Wybudowano je na północ od miasta, bo stąd jest najbliżej do pól wydobywczych. Suwałki szybko miały stać się silnym ośrodkiem przemysłowym. Na 2000 rok prognozowano 160 tysięcy mieszkańców. Dlatego to my, a nie Elk, dostaliśmy status stolicy województwa, gdy w 1975 roku dokonano nowego podziału administracyjnego.

* Ten i pozostałe cytaty kursywą pochodzą z powieści *Łódź* Jacka Dukaja

** „Gazeta Współczesna”, 27 lutego 2016.

Doświadczenie nie jest już konieczne: ono zawsze będzie przypadkowe, fragmentaryczne. Natomiast wyobrażenie jest kompletne.

Trzeba aż oczy przymykać, tak tutaj jest.

Piotrek Fiedorowicz prowadzi ostrożnie, choć auto jest terenowe i ostre zakręty szutrowej drogi pokonuje z lekkością. Wspinamy się na strome wzgórze porośnięte pożółkłymi o tej porze roku drzewami. W dole lśnią jeziora, za chwilę będziemy pędzić w ich stronę, niewielkie drewniane chałupki tylko nam w tym pędzie migną i znikną w chmurze podniesionego przez koła pyłu. Z głośników płynie radosne pobrzękiwanie miejscowego zespołu folkowego Otako, w którym Piotrek gra na gitarze, skrzypcach i trochę śpiewa. Dziś też ma próbę, ale najpierw postanowił zabrać mnie do miejsca, które miało zniknąć.

– Zaraz będziemy – rzuca i wskazuje głową wylaniające się przed nami wzgórze. Po chwili zatrzymuje się bez zjeżdżania na bok i wysiada. Gdy widzi moje pytające spojrzenie, mówi tylko:

– I tak nikt tędy nie będzie jechał – a potem rusza stromą ścieżką pod górę. Gnam za nim.

– Tutaj miała być elektrownia szczytowo-pompowa, która zasilałaby cały kombinat. To by było zalane – pokazuje ręką w jedną stronę – a to zrujnowane. Wyobrażasz sobie?

Nie wyobrażam. Przed nami złoci się w popołudniowym słońcu kiczowata do bólu pocztówka z Suwalszczyzny. Po horyzont tylko wzgórze, drzewa i jeziora. I kilka bladeżółtych pasemek dróg przeplecionych między nimi. Można się gapić godzinami. Trudno uwierzyć, że ktoś mógł poważnie rozpatrywać przekształcenie tego wszystkiego w górnicze zagłębie.

Więc w jakiż to sposób świat oparty na „być może” jest bardziej słuszny od świata opartego na prawdzie? W jaki sposób Historia tego, co nie istnieje, jest bardziej prawdziwa od Historji tego, co istnieje?

Na pierwsze ślady rudy natrafiono pod Suwałkami pod koniec lat pięćdziesiątych. Badania i odwierty prowadzone przez specjalistów z Państwowego Instytutu Geologicznego były obiecujące. Niepokoiły też miejscowych. Ponieważ prowadzono je przy pomocy materiałów wybuchowych. Po lasach niósł się huk eksplozji, a po wioskach plotka, że komuniści dobijają resztki ruchu oporu.

Ale już wcześniej podziemne złoża dawały tu o sobie znać. Zgłaszali to przede wszystkim lotnicy. Piloci przelatujących nad Suwalszczyzną niemieckich bombowców zaobserwowali dziwne zachowanie instrumentów pokładowych. Jakby jakieś pole magnetyczne zakłócało ich działanie. Podobne obserwacje

mieli polscy piloci. Prezes białostockiego aeroklubu Jan Jagodzicki zwierzył się z tych obserwacji dziennikarzowi:

„Spokojnie, to tylko ruda” – miał mawiać zaniepokojonym kursantom szkoły szybowcowej.

„Ziemia przejrzała się w niebie. Dokonało się misterium przyrody i nauki: samoloty znalazły rudę, geologia ukloniła się panom nieba” – puentował ekstatycznie reporter.

Temat kopalni pojawił się jednak później, mniej więcej wtedy, gdy na świecie wybuchł kryzys energetyczny. Na początku lat siedemdziesiątych do władz wielu krajów dotarło boleśnie, że za wszelką cenę muszą się uniezależnić od zewnętrznych źródeł surowców. Komunistyczna Polska zaczęła przyglądać się swoim zasobom. Z badań geologów wynikało, że na Suwalszczyźnie znajdują się między innymi bogate złoża rud polimetalicznych, w tym niezwykle cennego tytanu i wanadu. Wzrok decydentów utkwiał w tej części mapy.

*Czy można zmienić przeszłość, skoro przeszłości nie ma?
Na koniec pozostaje bowiem wyłącznie zawodna pamięć
świadków.*

„Równe rzędy baraków obwieszane praniem (majtasy dzieciaków i kombinezony wiertaczy). Po obozie kręcą się wiejskie kundle, zarośnięci wiertacze wałęsają się tu i tam” – pisał w 1976 roku reporter Janusz Niczyporowicz, który nie bez trudu dotarł do wsi Szurpiły. Zorganizowano tam bazę geologów, którzy prowadzili już regularne odwierty mające ustalić charakter miejscowych złóż i ich dokładną lokalizację. To był ostatni etap przed rozpoczęciem wydobywania.

„Szurpiły są w stanie przedgorączkowym, jeśli wiertacze się sprawdzą i potwierdzą diagnozy, następna faza będzie nieunikniona – po miedzi i siarce kolejna gorączka” – pisze reporter na początku swojej opowieści o pionierach kroczącej żwawym krokiem zmiany.

„Wiertnicy nie rozmawiają, wiernicy krzyczą. Opaleni, krzepcy, precyzyjni w ruchach, porozumiewają się gestami, ułamkami gestów” – zauważa. Chodząc po Szurpiłach widzi skrzynie z geologicznymi rdzeniami ułożone w równe stosy i podłużne, beczkowate hangary budowane do ich przechowywania. Z detalami opisuje pracę przy odwiertach:

„Najlepszych wiertników sprowadza się z okolic Krosna – tam, gdzie wydobyte ropy, ci są najlepsi, najwytrwalsi i najmniej ustępliwi w robocie. Robotą przy rudach to dla nich pestka – pracując przy ropie ryzykowali życiem – zdarzało się, że silniki zassały tryskającą z otworu naftę, bywało że pod ciśnieniem wydobywał się gaz. Wtedy trzeba było działać szybko. Przy rudach wszystko, co się może stać, to urwanie wiertła – zagrożenia nie ma, jest jedynie utrudnienie i więcej pracy. Ale do tego przywykli”.

Od miejscowych chłopów Niczyporowicz słyszy, że wioska dopiero niedawno została zelektryfikowana. Od geologów, że postawione tu naprędce drewniane domki sprawdzają się, ale tylko latem. Zimą temperatura spada poniżej zera, wszystko wilgotnieje, a oni ciepły posiłek jedzą raz dziennie.

„Wzorem trapera był wiertnik, który zamrożoną konserwę przecinał jednym pociągnięciem noża, a zamrożone mięso popijał odłamkami lodu rozpuszczanymi pod językiem” – zapisuje.

A więc obietnica metalu i lód, który nie daje za wygraną.

Kłamstwa należy budować z drobnych okruchów rzeczywistości, dodawanych cierpliwie jeden po drugim; a jeszcze lepiej, jeśli budujesz je nie ty, lecz okłamywany.

Kopalnia z szymbami, składowiska rudy, kruszarnia, zakład przetwórczy rudy, zbiornik osadowy na odpady poflotacyjne, wielkośrednicowe rurociągi, linie energetyczne, infrastruktura drogowa, bocznice kolejowe, stacje przeładunkowe i zaplecze socjalne dla kilku tysięcy pracowników kombinatu. A w samych Szurpiłach nowoczesny, szklany wieżowiec dla dyrekcji i administracji nowego okręgu górniczego. Takie były założenia dla nowego zakładu wydobywania i przetwarzania rud polimetalicznych. Pierwsze plany dotyczące budowy ocierały się o science fiction. Zakładały, że nie tylko wydobywanie rud, ale także ich transport (na długości ponad dwudziestu kilometrów) oraz przetwórstwo i wzbogacanie odbywać się będą pod ziemią. Z czasem te wizje zostały wyparte przez twarde realia. Plany przygotowane przez Biuro Projektów Budownictwa Przemysłowego i Kopalnictwa Rud „Biprorud” nie pozostawiały już żadnych wątpliwości: budowa kombinatu miała oznaczać całkowitą degradację tej części Suwalszczyzny.

„Kopalnia widokowo zakłóci suwalski horyzont, bo wieże liczyć będą sto metrów wysokości, a ich boki tylko po trzydzieści metrów – przyznawał w rozmowie z dziennikarzem dyrektor miejscowego Biura Planowania Przestrzennego Jan Urbanowicz. – Poza tym jeszcze linie wysokiego napięcia, bo obszar eksploatacji rudy będzie potrzebował tyle energii elektrycznej, ile w tej chwili zużywają całe Suwałki”.

Zaraz potem jednak uspokajał:

„Ważne jest to, że wody powierzchniowe i podskórne rejonu eksploatacji nie spłyną w stronę Suwałk, więc miastu nie grozi śmierdząca woda, jak również niedobór, bo z tych samych źródeł będzie dostarczona woda do flotacji”.

Tymczasem rząd Gierka znalazł już nawet pieniądze na całe przedsięwzięcie. Środki na budowę kopalni miały pochodzić z pożyczki udzielonej Polsce przez władze RFN. Wynosiła ona 750 milionów marek i miała być spłacana w tytanie i wanadzie.

„Las nie wytrzyma konkurencji betonu i stali, horyzont przestanie nęcić zielenią – pisał Niczyporowicz. – O tym, co będzie kiedyś, trzeba myśleć już teraz”.

Świat jest zawsze dla człowieka tym, co uczynił on z niego i co zaniedbał uczynić.

„Włodarze nowego województwa, chociaż nie są nieczuli na zapach polnego kwiecia i śpiew słowików, ogromnie się wtedy radują z magnetytu, wanadu i tytanu – pisał w połowie lat siedemdziesiątych inny reporter, Wojciech Giełżyński. – Naród tutejszy nie może doczekać się górników, ale ów tłusty poleć pozostaje w sferze wizji na następne pięćdziesiąt lat. Więc chwilowo władze biorą, co kto daje i dziękują, chociaż niektórzy przynajmniej tych władz przedstawiciele noszą w sobie jakby poczucie grzechu; jakby gryzło ich sumienie, że naruszają dziedzictwo Suwalszczyzny”.

Walka o ocalenie pejzażu tej części Suwalszczyzny zaczęła się mniej więcej wtedy, kiedy lasy w okolicach Szurpił rozbrzmiewały detonacjami wywoływanymi przez geologów. W 1957 roku jeden z lokalnych przyrodników, Antoni Patla, apelował do Ligii Ochrony Przyrody o konieczności powołania Suwalskiego Parku Narodowego. Gdy okazało się to niemożliwe (oznaczało bowiem wykup gruntów, na co nie było pieniędzy) lokalne władze zdecydowały się na powołanie kilku rezerwatów przyrody mających chronić najcenniejsze zakątki regionu. W 1967 roku Wojewódzka Rada Narodowa podjęła decyzję o konieczności powołania większego rezerwatu o nazwie Suwalski Park Krajobrazowy. Gdy w latach siedemdziesiątych plany budowy górniczego kombinatu przyspieszyły, także przyrodnicy zwarli szeregi. Tym bardziej, że media rozpoczęły już zaordynowaną przez władze kampanię propagandową. „Expres Wieczorny” z 1973 roku donosił: „Coraz wyraźniej zarysowuje się kształt suwalsko-augustowskiego okręgu górniczego i wizja uprzemysłowienia tych niemal dziewiczych obszarów Polski. Tych, którzy spędzili niezapomniane chwile na splywach Czarną Hańczę, tych, którzy bez reszty zatopili się w przepastnych borach Puszczy Augustowskiej, prosimy o powstrzymanie okrzyku grozy. Prosimy się nie bać, bo właśnie doszło do zjazdu Polskiego Towarzystwa Geologicznego, podczas którego (...) uczestnicy spotkania podjęli kilka uchwał zobowiązujących do takiego gospodarowania bogactwami regionu suwalsko-augustowskiego, aby nie zepsuć walorów krajobrazowych i klimatycznych, które są równie cennym bogactwem jak rudy, aby ci wszyscy, którzy spędzają tu uroczyste urlopy – spędzali je dalej, nie czując bliskości ośrodka górniczego. I to jest możliwe”.

W 1977 roku przyrodnikom niedającym wiary w te zapewnienia udało się przekonać Wojewódzką Radę Narodową w Suwałkach do powołania Suwalskiego Parku Krajobrazowego.

Lód jest bezbolesny; boli wyjście z lodu.

Gdy tylko wjechaliśmy do wioski, rozszczękały się psy. Piotrek znów parkuje na środku drogi.

– Poczekam, sam się przejdź – mówi i kręci gałką radia.

Słońce już schowało się za chmurami i zrobiło się chłodno. Szurpiły sprawiają wrażenie wyludnionych. Nawet tych psów nie widać, tylko je słychać. Nie bardzo wiem, dokąd iść, więc kręcę się wzdłuż rachitycznego ogrodzenia i próbuję zrobić jakieś sensowne zdjęcie. Za płotem w karnym szeregu stoi kilkanaście półokrągłych baraków z pordzewiałej blachy. Na bramie informacja, że to magazyn rdzeni zarządzany przez Państwowy Instytut Geologiczny. W każdym z nich ułożone w różnych rzędach obietnice *prosperity* wycenianej przez niektórych na biliony złotych.

Już pod koniec lat siedemdziesiątych było wiadomo, że z planów wydobywania tytanu i wanadu nic nie wyjdzie. Złoża były za głęboko, od 850 do 2300 metrów pod ziemią. Dotarcie do nich byłoby zbyt kosztowne, a cała operacja nieopłacalna. Poza tym Polska epoki późnego Gierka właśnie zaczynała dostawać finansowej zadyszki. Pożyczka od RFN jakoś się rozeszła, pieniędzy na górniczy kombinat już po prostu nie było. Chociaż badania rud na Suwalszczyźnie prowadzono jeszcze przez całe lata osiemdziesiąte. To wtedy po raz pierwszy natknięto się na anomalie w okolicach Udrynia i Szypliszek, która później okazała się pralodem, wieczną zmarzliną.

Temat bogatych złóż bezcennych metali pod jednym z najpiękniejszych zakątków Polski wraca jednak przy okazji każdych wyborów. I to nie tylko za sprawą niestrudzonego w snuciu fantastycznych wizji Jerzego Ząbkiewicza. W 2016 roku Suwałki odwiedził wicepremier Mateusz Morawiecki. Zapytany przez dziennikarzy o tę sprawę odpowiedział złowrogo: „Będziemy musieli się temu dokładnie przyjrzeć”.

Bo tak czy owak, niedokonane prawdziwsze jest od dokonanego.

Korzystałem z tekstów:

Niczyporowicz J., *Spokojnie chłopcy, to tylko ruda* [w:] *Coraz więcej mamy wrogów*, Białystok 1983.

Giełżyński W., *Szło nowe, nie doszło* [w:] *Jaćwięgi są wśród nas*, Warszawa 2001.

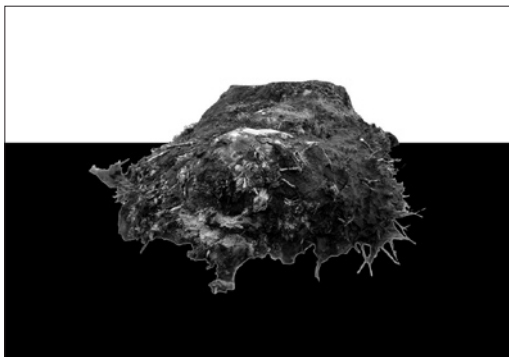
Świerubska T., *Historia powołania pierwszego parku krajobrazowego w Polsce, a projekt wydobywania rud tytanomagnetytowych masywu suwalskiego*, „Górnictwo Odkrywkowe” 2014, R. 55, nr 2-3, s. 40-43.

Czy pod Suwałkami powstanie kopalnia?, „Kurier Suwalski”, 18 stycznia 2016. Jerzy Ząbkiewicz, *kandydat na senatora: Mamy gigantyczne bogactwo*, „Gazeta Współczesna”, 27 lutego 2016.

Dukaj J., *Lód*, Kraków 2007.

FILIP SPRINGER Reporter i fotograf. Autor *Miedzianki. Historii znikania*, książek poświęconych przestrzeni i architekturze, współautor projektu „Miasto Archipelag. Polska mniejszych miast”.

STRONY W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ



JOANNA RAJKOWSKA

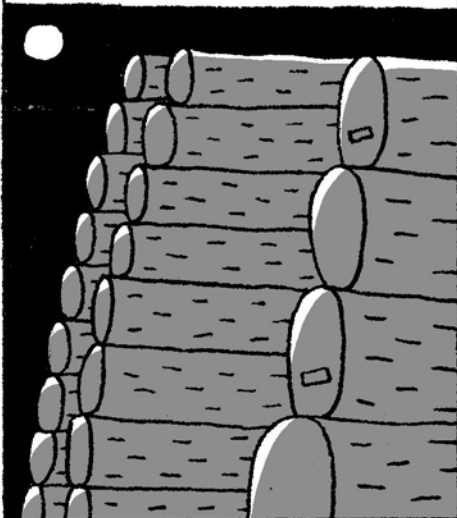
Lokalizacja: ul. Ludna, przy skrzyżowaniu z ul. Wioślarską (Solec)

Kiedy pytam ludzi, co czują na widok ścinanych drzew, reagują przede wszystkim kobiety. Czują to samo, co ja – że im się coś wycina. Jakiś organ. Albo że odcina im się rękę albo nogę. Ludzie krwawią, spuszcza im się soki, tracą energię. Myślę, że raz wydobyte na powierzchnię korzenie wymagają jakiegoś gestu.

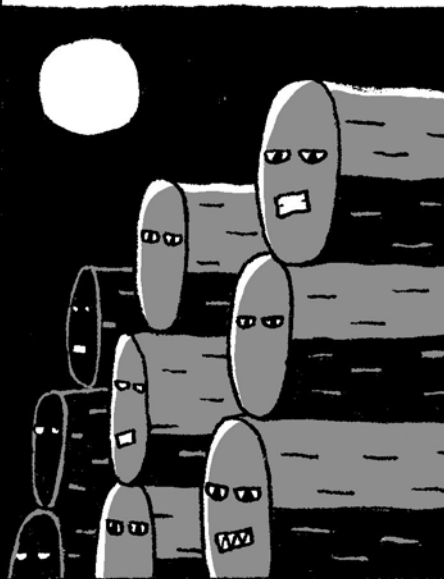
JOANNA RAJKOWSKA Autorka rzeźb, fotografii, rysunków, obiektów i instalacji. Często realizuje prace w przestrzeni publicznej. Autorka projektów *Satysfakcja gwarantowana*, *Dziennik snów*, *Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich*, *Dotleniacz*.

JACEK FRAŚ Rysownik, malarz, plakacista, muzyk zespołu Dick4Dick, kiedyś perkusista Cool Kids of Death. Autor komiksów *Glinno*, *Stan*, *Ostra biel* (scenariusz: Grzegorz Janusz), *Totalnie nie nostalgia*. *Memuar* (scenariusz: Wanda Hagedorn).

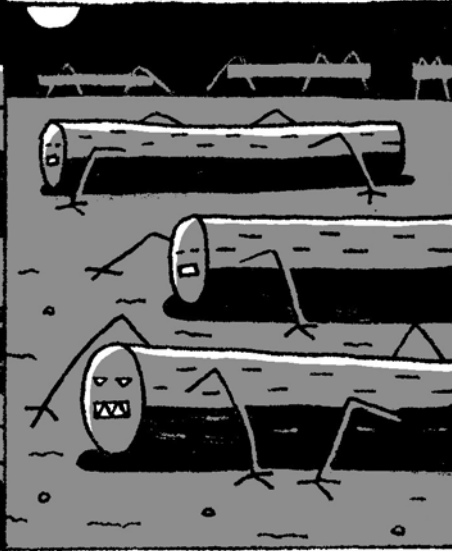
JAK CIAKA W KOSTNICY, LEŻĄ MARTWE DRZEWA W MARTWYM LESIE.



DZIŚ JEST PEKŃIA.



KAZDE ZYCZENIE SIĘ SPEŁNIA.



TYMCZASEM U DRWAŁA.



WIESZ KOCHANIE, JAKI MIAŁEM DZIŚ SEN?

ŚNIKO MI SIĘ, ŻE SADZĘ DRZEWA, MKODĘ DRZEWKA.



GŁUPOTY! NAPIJ SIĘ LEPIEJ WÓDKI.

WÓDKA MNIE OTEPIA. NIE CHCĘ JUŻ NIGDY PIĆ.



E TAM.

PUK!

PUK!

PUK!

KTO TO?

PÓJDE OTWORZYĆ.

WEŹ SIEKIĘ!

PUK!
PUK!



JEZUS MARIA!



DOBRY WIECZÓR. ZNA PAN TO?:



DRWAŁ I MYŚLIWY IDĄ DO LASU, A LASU NIE MA.
- WYCIĄKĘS WSZYSTKIE DRZEWA! GDZIE MAM TERAZ POLOWAĆ?! - PŁACZE MYŚLIWY:
- PRZECIEŻ WCZEŚNIEJ WYBIŁEŚ CAŁĄ ZWIERZYNĘ - MÓWI DRWAŁ.
- JESTEŚMY GINĄCE ZAWODY - MÓWI MYŚLIWY.